

Witold Wysocki i Irena Wysocka

© ARCHIWUM WSCHOBNE

Nagranie lipiec 1990, Olsztyn

Urodzony jestem 18 stycznia 1920 roku (rok historyczny) na Wileńszczyźnie, w zaścianku Karolinowo, gmina Podbrodzie, powiat Święciany. Do Podbrodzia niedaleko, 8 km, bliźniutko przystanek kolejowy Tarcze (Tarczew?), miejscowość letniskowa, zawsze tam latem wesoło było i ciekawie. Ojciec miał gospodarstwo rolne. Miałem też brata o 12 lat starszego ode mnie, był sierżantem, wojskowym, ciągle jeździł: to na ćwiczeniach, to w koszarach, to w domu. Na gospodarstwie mało pracował. Zginął we Władystoku, w obozie był, razem sądzony (ze mną), nie wytrzymał tego. Do szkoły chodziłem najpierw w Pódchociszkach (?), potem do siedmioklasowej szkoły w Podbrodziu, jednej ze stu szkół imienia Józefa Piłsudskiego. Potem uczyłem się zawodu.

Początek wojny był dla mnie tragiczny, bo właśnie jako ochotnik chciałem iść do wojska (20 rocznik jeszcze nie podlegał poborowi), zdobyć stopień lub zawód - ale wojna temu przeszkodziła, zostałem w domu. Z mobilizacją nie zdążono, bo przecież to krótko trwało: 19 września byli Rosjanie. Rosjanie wprowadzali swoje porządki (wszystko ze sklepów znikło, kolejki - ludzie tego nie znali!), potem Wileńszczyznę przekazali Litwinom. Przyszli Litwini - sklepy znów były pełne, warunki znośne. W 40 roku znowu najazd. Pamiętam, pewnej niedzieli byliśmy z ojcem w sadzie, pomagałem mu (ojciec miał dużą pasiekę). Patrzamy: co to jest? Aż ciemno, samoloty wala ze wschodu na zachód. Słuchamy radia: Litwa zażądała, żeby ją przyłączyli do Z SRR. Moskwa tak to podała. I znowu pustki wszędzie... To było lato 40 rok. Potem, w zimie z 40 na 41 rok, zaczęli niszczyć, gniebić, rozkułaczać. No i zaczęli wywozić. Z Litwy, z naszych terenów wywozili w czerwcu, przed samą wojną. Ludzie wiedzieli, że będzie wojna, a oni nie wierzyli... Nas jakoś nie zdążyli wywieźć, uniknęliśmy tego, wszyscy młodzi kryliśmy się gdzie kto mógł, nie nocowało

się w domu. Raptem Niemcy Wilno bombardują - okupacja niemiecka. Niemcy zaskoczyli Rosjan i dzięki temu dużo ludzi ocalało, Rosjanie nie zdążyli ich wywieźć. Wagony pełne, załadowane ludźmi stały na stacjach, niektórzy transporty rozbijali, powracali do domów. Niemcy gnębili w inny sposób: urządzali łapanki, aresztowali, brali na roboty.

W konspiracji zacząłem pracować jakoś pod jesień 42 roku, a na wiosnę 43 roku, chyba w kwietniu, zostałem zaprzysiężony. To była tzw. 36 Brygada Lejmiana. Działała od Święcian po Niemenczyn na naszym terenie. Podbrodzie to było nawet takie centrum. Działali przeważnie kolejarze i okoliczna ludność: chłopci, młodzież, aż po Niemenczyn. Dalej to już były oddziały wileńskie. W brygadzie było ok. 600 ludzi, to była duża brygada. Nigdy nie nie była w miejscu, działała. Byłem mechanikiem. Miałem dużo roboty z bronią, zajmowałem się rusznikarstwem jako mechanik (to był mój zawód). Niedaleko była kolej, szła tu główna linia z Warszawy na Dynaburg do Leningradu. Była dwutorowa, ale Litwini w 40 roku rozebrali jeden tor, bo im był niepotrzebny. Jak przyszli Niemcy, posługiwali się więc jednym torem. Szły jednak duże transporty na front, więc robili mijanki - jeden pociąg stanie, czeka na następny. Akurat taka mijanka była w lesie około 3 km od nas. W pociągach włożono broń, amunicję, czasem samochody (w samochodach siedzieli żołnierze i spali). Taki transport stoi cicho a tu z lasu się wyskakuje do tych samochodów zabierają^{ca} co było: broń i wszystko. Do czołgów wchodziłi i zabierali karabiny maszynowe. To było łatwe, trzeba tylko takie jarzmo odkreślić. Takiemu karabinowi trzeba było nóżki dorobić, żeby go można było używać w polu. Takie właśnie rzeczy robiłem. Z pociągów wyrzucali także np. motocykle. Na jednej mijance wsiedli, pociąg ruszał, wyrzucali, wysiadali na drugiej. W nocy, śniegu dużo, zima.

Jak wyglądała wpadka: wiadomo, w konspiracji wielkich-znajomości nie wolno było mieć, żeby ludzie za dużo nie wiedzieli. Ale nie mo-

głem się od tego uchronić, bo przecież wielu ludzi do mnie przycho-
dziło. Ja ich znałem, oni mnie. Brali broń, oddawali do naprawy.
Przywozili cekaemy maximy i inne. W operacji "Burza" byłem zaangaż-
owany w ostatniej chwili. Spod Wilna przyszła wiadomość, że mam do-
prowadzić oddział jeden, wyruszyć w kierunku Świącian. Tam w jakiejś
miejscowości miałem czekać na wiadomość. Udaliśmy się tam we dwóch
ze "Szczurem" (mój pseudonim - "Okoń"), to było z 40-50 km. od Wil-
na, była piąta po południu. (Działania woj. już się skończyły, pełno
jest Rosjan, między nimi się lawirowało. Nic nam nie robili, mieli-
śmy opaski, mundury...) Ktoś z tamtego punktu, małego mająteczku,
prowadził nas lasem, drózkami, wreszcie bagnem (z kępy na kępe trze-
ba było przeskakiwać) na taką wysepkę, polanę, gdzie była zbiórka.
Najpierw miałem za zadanie ich ~~przekazać~~ prowadzić na akcje
"Ostra Brama", z takim rozkazem wyruszyłem z wieczora poprzedniego
dnia, ale rano (w tym mająteczku nocowałem i było tam kilku oficerów
doszły nowe wiadomości i rozkaz zmieniono) miałem oddział nie dopro-
wadzić pod Wilno, lecz rozwiązać... To było chyba 15 lipca. Wiec
z ciężkim sercem szliśmy z taką wiadomością. Dostaliśmy się na tę
wysepkę do oddziału - jakieś 50 osób z plecakami, żywnością, bronią.
(...) Z ameldowałem się dowodzącemu i przekazałem wieść: oddział
rozwiązać, iść do domów, bo zostaliśmy okrążeni pod Wilnem i nie
wiadomo, co z nami zrobią. Jest rozkaz, żeby na razie się rozwiązać
i siedzieć cicho. Nastąpiła konsternacja: rzucają na ziemię broń,
wszystko, niektórzy zaczęli płakać! Odeszliśmy, wróciłem do domu.
Dziś myślę, że decyzja o rozwiązaniu (AK) była skuszna. Tylko straty
byłyby. (...) Co miałyby robić taki oddział, skoro nasze jednostki
pod Wilnem już zostały rozbrojone i internowane? Jeszcze nie wiedzie-
liśmy, co z nimi zrobią (powieźli do Kaługi). Wtedy mówiono o 8 tys.
okrążonych pod Wilnem. Ale drugie tyle przez noc uciekło, masa lu-
dzi. Mieliśmy zamiar iść na Warszawę, pomóc jej. Powstania jeszcze
nie było, ale wiedzieliśmy, że coś się kroi. Czekaliśmy.

Zamelinowaliśmy się, każdy urządził się gdzieś w pracy. Ja miałem dobrą pracę na kolei, mieszkałem w domu z rodzicami. W pracy było nas wielu z konspiracji. Ja zaopatrywałem w żywność cały duży odcinek kolejowy.

Pewnego razu (...) rano skończyłem robotę i pojechałem na rowerze do domu. Przez lasy, mieszkałem niedaleko kolei. Jadę, nasłuchuję - coś mi się wydaje nie w porządku przy domu. Człowiek miał poczucie, że w każdej chwili może być aresztowany, nieszczęście wisiało nad nami. Psy jakoś inaczej szczebały. Wtedy, gdy jechałem, jakby ktoś tam był... Dzień był mglisty, wjeżdżam do sadu i tu mnie cap! - NKWD. Za boki mnie i na podwórze. Doprowadził ich jeden z naszych chłopaków, który broń do mnie przywoził (u nas w obejściu był magazyn broni), wiedział, gdzie była składowana - doprowadził ich! Już wyładowana była na podwórku, karabiny maszynowe stoją, oni tylko czekają. Zgarnęli też młodych chłopaków z sąsiedniego domu.

Pseudonim tego chłopaka, co ich przyprowadził - „Karszun”, widziałem go. Nie wiem, czy był wtyczką. Załadowali dwie furę, wioza nas na wschód, na Białoruś, nie do Wilna. To było NKWD gdzieś ze wschodu, ze Świra. Jedziemy przez wieś Moguny, na razie z nami, aresztowanymi, obchodzą się łagodnie. W jakiejś odległości, 50-100 metrów od nas idzie młody mężczyzna, a ten Karszun (z nami siedział w ubra- niu ruskim) mówi: "O, tu też partyzant Akowiec idzie!" Ostrzelali go, skoczyli, dogonili i zabrali (...). Staszka Jachiewicza też on wysypał i wielu innych (...). Znał wszystkie nasze dróżki, hasła, sposoby i wszystko udowadniał. W Świrze na śledztwie przecież nie przyznałem się. Ale go przyprowadzili, a on: "Toż z tobą tam a tam byliśmy, robiliśmy to a to". Nie wytrzymałem, bo dość tęgi byłem chłopak i uderzyłem go porządnie w czasie śledztwa, aż się przewrócił, cherlak. Wtedy tak mnie sprali, że nie pamiętam, co było - w nocy mnie odprowadzali do podwórka pod ręce, byłem cały mokry. Chyba mnie wodą zlewali. Zbity byłem zupełnie, plecy miałem poharatane całe.

Czym bili :obcasami, czy czym innym - nie wiem. Od tego momentu już z Karszunem nie widziałem się nigdy.

Ze Swiru pieszo pognali nas do Starej Wilejki na Białorusi. Tam jest duże stare, jeszcze carskie więzienie. Zaczęli tam ścigać wszystkich, których on sypał (...). Stara Wilejka nie leżała na głównej trasie, trudno tam było ~~wyjazdną~~ dojechać, np. z paczkami. Od jesieni byłem w śledczym, było nas 16 osób, niektóre znałem. Była też w tej grupie moja późniejsza żona, aresztowali ją w Podbrodziu w styczniu. Śledztwo zostało zakończone w czer^wcu, już po zakończeniu wojny. Więzienie to był niski parterowy dom, pracowali tam Niemcy, jeńcy. Patrzyni! niosą jakieś wiadra i krzyczą: "Wojna kaput!". Chyba zadowoleni. Też strasznie wyglądali, ale żywili ich lepiej niż nas.

Śledztwo to był koszmar, straszna rzecz. Nie wiem jak inni, ale ja dużo dostawałem (...). W Wilejce dostawałem za to, że gdy śledczy powiedział: "Was budiem sudit, strielat!" - ja na to: "To nie nowość, nie tyle w Katyniu rozstrzelaliście!". Zaraz zawołał dwóch, wyciągnęli mnie i tak mi dali! A najgorsze na śledztwie, jak siedzisz dobę albo dwie na taborecie i nie możesz się ruszyć. Mdlejesz, padasz, ci co prowadzą śledztwo zmieniają się. Bili czym popadło, przeważnie pistoletami. Miałem na wylot przebitą wargę, ucho tak rozbite, że w więzieniu nie słyszałem, jak rozmawiano, nie mogłem skojarzyć słów mówionych do mnie. Po trzech miesiącach zacząłem dopiero przychodzić do siebie. Pamiętam, jak do Wilejki przyszła do mnie paczka, bielizna dla mnie. Oddałem swoją porwana, porwawioną - straszna tragedia w domu była. Ile dostałem, to dostałem. Ale nie dostałbym tyle, gdyby mnie ten Karszun nie wkopywał w żywe oczy w czasie konfrontacji! Nie wszystkich tak bili. Stosowane były przede wszystkim te nocne siedzenia, ludzie mdleli. Bywa tak: kolacja (wrzątek), capstrzyk, po capstrzyku każą odejść wszystkim spod drzwi celi, w judasza patrzeć. Nagle otwiera i wywo-

kuje na śledztwo. Czasami ledwie przyjdiesz, usiądziesz - i znowu! W celi było strasznie. W pomieszczeniu 20 na 25 było sto osób. Spało się na waleta, w nocy na komendę rząd cały się obracał na drugi bok. Nie można było nóg wyciągnąć. Pluskwy były, ale przede wszystkim masa pcheł. Nieszczelne drewniane podłogi, szpary. Jak wyganiaли nas na spacer, zostawiali kogoś, żeby wodą zlewał podłogi, Wychodziły wtedy na ściany - aż czarno było od nich. A pod podłogami niesamowite szczury. Miałem z paczki trochę sucharów w niedużym worku, siadałem na nim. Kiedyś podnoszę worek: prawie pusty, wygryzły wszystko prawie od podłogi, wyżarły, nawet nie słyszałem kiedy. Był świerzb. Jakaś służba sanitarna przynosiła coś w rodzaju dziegciu do smarowania ciała, trochę przechodziło. I wszy!

Śledztwo zakończyło się latem 45 roku, siedzimy dalej i czekamy, co będzie. (...) Wysyłali nasze sprawy do Moskwy. Nie mają za co skazać, bo biliśmy się nie z nimi, co innego ci, co po 45 roku. Nie mieli się do czego przyczepić. Dwa czy trzy razy wysyłali do Moskwy te sprawy, a my siedzimy, tylko nas na spacer wyprowadzają. Porobiliśmy sobie z chleba szachy, szachownica z chustki, ale grać nie było wolno, trzeba się było z tym ukrywać. Zrobiliśmy nawet karty z ustników do papierosów. Niektórzy potrafili robić eleganckie, z figurami. Ale i w karty nie było wolno grać. Także czytać - jeśli dołączono do paczki gazetę, darli ją na kawałki. Ale potrafiliśmy je układać, żeby coś przeczytać. (...) Mieliliśmy czas. Siedzieliśmy już nie w małym więzieniu śledczym, lecz w potężnym dużym więzieniu z wielkimi murami. Opowiadali, co się w nim działo w 41 roku. Też tam wtedy była masa ludzi, siedzieli. Jak wybuchła wojna z Niemcami, Rosjanie część więźniów wyprowadzili, a część rozstrzelali na miejscu na podwórzu więziennym. Była na nim studnia piękna, nieczynna od tego czasu, bo cała była zawałona trupami. Niemcy też jej nie czyścili. A w rogu podwórza były na murach dziury prawie na

wylot, tam rozstrzeliwali Rosjanie ludzi. (...) Jak uciekli, ludność rzuciła się szukać swoich wśród trupów, wyciągali bliskich, ^hoznajomyc (...). W czerwcu 46 roku pewnego dnia wywożują nas z celi po nazwisku, m. in. prawie całą naszą grupę. Prowadzą nas na stację w Wilejce. Miało się chyba na zachód słońca. Na boczniccy stoi jeden wagon (nie stożypin), pocztowy, okna zakratowane. Po dwóch latach murów więziennych patrzymy, dokoła zielono, piękna pogoda, pachnie wszystko... Konwój niewielki, można było właściwie uciekać, ale nikt o tym nie myślał. Jedziemy na południowy zachód, do Grodna. Przywożą nas do więzienia w Grodnie, gdzie warunki o wiele łagodniejsze.

Pani Irena: Kobięty wywożono do pracy w państwowym gospodarstwie, tam nawet dawano nam jeść. Pełżyłyśmy i okopywały buraki i ziemniaki. Ziemię miałyśmy pod nogami i niebo czyste, powietrze. Łany zbóż szumiące wokół - to było szczęście. Wokół strażnicy z karabinami. Wieczorem przywozili nas z powrotem do więzienia. Tak minęło lato.

Kiedyś pytają, czy ktoś z nas potrafi uruchomić kocioł w kotłowni, bo wszystko: łaźnie i kuchnie na kotle parowym. Zaryzykowałem. W życiu tego nie widziałem, ale byłem mechanikiem. Obudzili mnie o 4-tej przyprowadzili do kotłowni. Stoi duży kocioł opalany drewnem. Trzeba do niego wody nabrać - jak to się robi? Rozpaliłem, patrzę: w szkle mało wody, a injektor, który powinien samoczynnie zasysać wodę - nie bierze. Wziąłem mokrą szmatę, wsadziłem, może coś pomoże? Chwyciło. Teraz już byłem w domu. Z miesiąc tam rano strażnik mnie przyprowadzał, uruchamiałem kocioł, a potem chodziłem sobie po podwórzu, wszędzie. Znalazłem w obrębie więzienia dawne magazyny tytoniowe: leżą trochę przyplesniałe zwitki liści tytoniu. Nabiorę nareczę tego, idę korytarzem więziennym, patrzę, gdzie mężczyźni. Otworzę malutkie okienko w drzwiach celi, wrzucam im tytoń, wrzucam znajomym. Strażnicy nic mi nie mówili. Albo pójdę do warsztatów, coś porobię dla zabicia czasu.

Koniec sierpnia. Raptem nas zabierają nagle i gonia z więzienia. Ale nie w ten sposób, jak do Gródna - z miejsca surowo, wagon już stołypin. I wiozą nas z powrotem do Wilejki. Będą nas sadyć. To był koniec września chyba 46 roku. Przeprowadzają nas na sąd. Odbywa się to w jakiejś świetlicy młodzieżowej, jest tam podium, scena. Wojenny trybunał. Było nas 16 osób, a trwało to gdzieś pół godziny, dwadzieścia minut. I wszystko!

Pani Irena: Pani Halina ubrała czarną garsonkę, ja czarna sukienkę. Z domu przywozili paczki, miałyśmy swoje rzeczy. Enkawudziści przy nosili nam paczki, sami zabierali niektóre rzeczy lepsze, ale niektóre przekazywali. Więc my w czerni, pani Halina Łaszkiewicz, wyższa ode mnie, miała biały szal, a ja, niższa, czerwony. Tworzyłyśmy flagę. Ale rozsadzili nas. Z kobiet byłyśmy tylko my dwie. Moje panieńskie nazwisko (Barska?) (...)

Najpierw byłam w poniemieckim obozie w Tallinie. Warunki były bardzo złe, czasem chleb nam dowożono po pięciu dniach, zupa gdzieś o północy dopiero. Wody nie było, dowożono ją beczkowitzami do obozu (wszystkie rury zamarzły). Po roku przewieziono mnie do Słan - była tam kopalnia żupków bitumicznych. Pomogła mi pewna Ukrainka, (...) pracowałam przy wyścigu, przy szybie. Potem była w obozie w Mordowskiej SSR, stacja Półna, nr obozu 1, skrzynka 385 (mam kilka kartek pisanych do mamy, przechowały się). Miałam prawo pisać dwa razy do roku, kartki częściej. To był specobóz, mój numer B - 136. W listach miałyśmy prawo tylko prosić o paczki i dziękować za nie. Twolniona zostałam w 54 roku, potem przewieziono mnie na zsyłkę do Krasnojarska. Tam ciężko pracowałam na budowie (...) Do Polski wróciłam 1 grudnia 1955 roku do Nowego Sącza, a już 5 XII byłam w Olsztynie. Tu się spotkałam z obecnym mężem. Byliśmy wspólnie sądzeni, ale wtedy nic nas nie łączyło, nawet działalność (...) Ja byłam łączniczką, w majątku w Poziankach (?) spotykałam generała Wilka, tam się we dworze sztab mieścił (...). Zresztą jak się wyjeżdżało z miasta do lasu i dalej na wieś, to tam była

jak się wyjeżdżało z miasta do lasu i dalej na wieś, to tam była Polska. Pod koniec, w 44 roku tylko miasto było niemieckie, a wieś cała nasza. Nawet kiedyś Krzyżanowscy mnie zatrzymali, było przyjęcie, nasi chłopcy ryb nałowili. Mieli kaplicę nawet w Pozankach (?) (...) partyzanci. Jechałam rowerem, nikt mnie nie zatrzymywał, byłam łączniczką w sztabie Kedywu. (...) Moja rodzina była najstarsza w Podbrodziu. Jak przyszli Sowieci, ojciec mój był chory, lekarz miejscowy, Żyd, go leczył. Jego syn poszedł na służbę do NKWD, przyszedł kiedyś do ojca i powiedział: panie Barnton (?), daj pan radio, bo mi potrzebne. Ja pana syna Czeška widziałem w złym towarzystwie, mogłem go aresztować, ale nie zrobiłem tego". Cóż, ojciec dał radio. Była też druga rodzina Żydów, Haskinów, aptekarzy, bardzo sympatyczni i patrioci. Do Rosji ich wywieziono, a tamtych rozstrzelano. Ojciec umierał, brat starszy w Anglii, młodszy wrócił i ukrywał się - cała rodzina w rozsypce. Po raz drugi przyszli Sowieci i 5 stycznia mnie aresztowali (...), dostałam 10 lat plus 5 zsyłki, choć mi nic nie udowodniono, podczas rewizji nic nie znaleźli. (...) Na śledztwie mnie nie bili, raz oberwałam w czasie ucieczki, szybko mnie dogonili po śniegu (....) Miał prawo mnie zastrzelić w czasie ucieczki

(koniec relacji pani Ireny)

Wracam do sądu. Odbył się więc w sali młodzieżowej. Odczytano każdemu akt oskarżenia, następnie po kolei nasze wyroki - to wszystko. Obrony żadnej. Nie pamiętam, ile osób sędziło. Sędzia chyba ~~nazywał się Tomaszewski~~ nazywał się Tomaszewski. Wszyscy dostali po 10 lat i 5 lat pozbawienia praw. Paragraf 63, pkt.1.

Tajma II

Po paru dniach biorą nas na etap. Wiemy, że już nie będziemy w kupie. Jest bardzo dużo Rosjan w transporcie, bytówików, bandytów. Przewieźli nas z Wilejki do Orszy na punkt przesylny, byliśmy tam z tydzień. Jedzenie ciepłe czasem i o północy, chleb raz na dwa dni. (...) Ciasno, w pomieszczeniu 300 osób. Stamtąd ładują nas w wagony

i wiozą na północ do Estonii, do Tallina. Stacja chyba się nazywała Milemiestie, przedmieście Tallina. Strasznie ciężka praca, kamieniołomy. Zrujnowaną przemysłową dzielnicę, wypalona, stoją tylko mury - mamy odbudowywać. Czasem o północy dają jeść. Na początku grudnia zorganizowano brygadę mechaników. Były warsztaty, trzeba je uruchomić. Trafiam tam z kolegą. To już był trochę przywilej, bo pod dachem, przy maszynach. Po trzech czy czterech dniach Własowcy (czy coś takiego), którzy byli między nami organizują sobie ucieczkę. Z wabili konwojentów, dwóch zamordowali, lejtnanta ogłuszyli i przywiązali do maszyny. Zabrali broń, mundury, przebrali się w nie, ustawili nas, więźniów w szyku i wyprowadzają z obozu przez miasto. Szliśmy koło samego obozu, mogli nas z wieżyczek wystrzelać, ale się nie połapali. A ci, nie znając terenu, wyprowadzili nas na lotnisko: olbrzymia przestrzeń! Tam już nikt na nic nie zważał, rozproszyliśmy się, każdy uciekał w stronę lasu byle prędzej. Dotarliśmy do lasu: ja, mój kolega Włodek Piórko, przyczepił się też do nas jeden Austriak, Hans Wiwinger z Insbrucka. Był 12 grudnia. Wodliśmy się o noc i biegniemy szybko, byle jak najdalej od obozu, bo dogonią z psami, wystrzelają nas z miejsca. Raptem rzeka - nie zamrznięta. Z jednej i z drugiej strony lód, pośrodku pasek wody. Wypatrujemy - w jednym miejscu zamrzło. Wzięliśmy po dwie żerdzie z jakiegoś ogrodzenia, śniegu nie było, lód gładziutki - po tych żerdziach na drugą stronę, zepchnęliśmy je, popłynęły środkiem - nikt już nie przejdzie. Tak nam się udało - w jednym miejscu było całkowicie zamrznięte. Na drugiej stronie w lasku trochę odpoczeliliśmy (...). Zaczęło się ściemniać. Musimy iść - jak najdalej od Tallina. Trafiliśmy na jakieś bagna meliorowane, na dnę rowów była zamrznięta. Jak po szosie szliśmy całą noc. Austriak gdzieś się w nocy zgubił, było nas dwóch, ja i Włodek Piórko. Nad ranem zorza, niebo pogodne, popatrzyło się na gwiazdy - niedźwiedzica, północ. Już się zna kierunek, już się idzie. (...) Nad ranem widzimy jakieś

światełko. Budynek - pukamy, Estończycy. Wpuścili nas do domu. Przyznaliśmy się, że jesteśmy więźniami. Zacząłem rozmawiać po niemiecku, ale nie znali tego języka, rosyjski trochę znają. "O, Polak! Jak Polak, to pierwszorzędny gość" - bardzo byli przychylni. Dali nam śniadanie, pytam jak daleko do Tallina. 70 kilometrów! Tyle przeszliśmy tej nocy... (...) Szliśmy po prostu na południe wg znaków przyrody: korona drzewa zawsze obrócona na południe, mech na drzewie lub słupie pokazuje północ, czysem po omacku macaliśmy pień lub słup. Nigdzie nie zboczyliśmy. Przekonaliśmy się też, że najłatwiej iść koleją, torami. Nikogo nie ma oprócz kolejarzy, a na szosie zawsze ruch.

Idziemy więc koleją - nagle jakiś niby most, wagony leżą, z boku widoczna rzeka (...), dochodzimy do mostu, a wartownik z drugiej strony. "Stój!". My od wagonów do lasu! Zaczął alarmować, krzycheć, wystrzelił rakiety. Rakiety są najgorsze: światło, a jak zgaśnie, nic nie widać, ciemno w oczach. Biegliśmy z rękami do przodu, żeby w drzewo łbem nie uderzyć. Od tego miejsca do rana przeszliśmy ze 30 km. Zaszliśmy do jakichś zabudowań. Mieszkał tam jakiś były leśniczy, bardzo przyjazny. Wykapaliśmy się, nakarmili nas. Opowiadał, że jego synowie też są aresztowani, dał nam mapy, pieniądze i jeszcze z pięć kilometrów odprowadził nas ścieżkami. (...)

Idziemy dalej. Mowy Rok spędziliśmy niedaleko Kropilsa w jakimś prawie opuszczonym domku. Mieszkała tam jakaś rodzina. (...) Okrążyliśmy Kropils (...). Znowu most. Wartownika nie widać. Weszliśmy na ~~niezgodny~~ ten most, deski skrzypią, bo mróz, przechodzimy na drugą stronę. A tam studzienne kręgi - siedzi w nich wartownik, tylko głowa mu wystaje. Wskakuje, od razu daje sygnał - już z drugiej strony biegną z psami, psy słyhać. My na moście, nie ma gdzie uciekać! Wpadliśmy. Teraz już koniec z nami. Przeprowadzili nas na wartownię, wypytuja. "A my tu idziemy do domu, do Dęwińska, pracowaliśmy tu". Trzeba kombinować. Dokumentów jednak nie mamy. "Jutro

zawieziemy was do Dźwińska i tam się wszystkiego dowiemy". Zamknęli nas w kajutce-stróżówce, wartownik nas pilniuje. Ciepło tam, napalone, odżyły nasze wszy, zaczęły się ruszać jak mrowisko. Nam smutno, ciężko, widzimy, że już koniec z nami. Koło dziesiątej rano zabierają nas stamtąd, znów wypytują, piszą. My już zażyliśmy się umówić, żeby mówić to samo, nie popłatać czegoś, nie rozdzielili nas. Ten sam żołnierz, który nas złapał, ma nas odwieźć do Dźwińska, młody chłopak. Ale od mostu do stacji jeszcze ze dwa kilometry trzeba było iść przez trochę wyrąbany las. "Nie uciekajcie, bo będę miał kłopoty" - mówi wartownik. My udajemy, że chcemy do Dźwińska, co tam! Pociąg nas miją, gdy dochodzimy do stacyjki, już stoi na stacji, a my biegiem do niego. Wartownik mówi, żeby prędzej biec, bo jest tam służbowy wagon. O, to już gorzej! Ale prawie w biegu wsiedliśmy do zwykłego wagonu na końcu. Usiedliśmy, on z automatem w przejściu, my na siedzeniu. Kombinujemy, co robić, ale nie porozumiewamy się z sobą. A wagon pełen ludzi, przejść trudno. Jedziemy. Koło nas siedzi jakaś kobieta i mówi po rosyjsku (jakby coś wiedziała): "O, jak ten żołnierz zasnął sobie dobrze!" Patrzymy - rzeczywiście, nasz wartownik położył sobie automat na kolanach i śpi. Pociąg stanął na jakiejś stacyjce - oh śpi! Pociąg rusza, on ciągle śpi. Mrugnąłem na kolegę (ludzi dużo wszadło, ale rozepchnęliśmy ich) i wyskoczyliśmy prędko z wagonu. Wymyśliśmy znowu wolni. Ucałowaliśmy się z radości i skoczyliśmy za osłony od śniegu. (...) Idziemy w stronę Dźwiny (jakiś namochód stanął opodal, pełno enkawudzistów, ale odjechali). Przeszliśmy zamarznietą Dźwinę. Na szczycie było sucho, bez śniegu. Nad Dźwiną jest droga zwana Podźwinka, gdzie bardzo dużo Polaków mieszka (Od Dynaburga w stronę Rygi). Wchodzimy do jednego domu, a tam takie same jak u nas święte obrazy na ścianach wiszą - katolicy! A oni: "O, Polacy!" Dali nam jeść, wymyśliśmy się. Rozmawiamy: oni czekają, aż tu Polska będzie! (...) W naszych oddziałach było dużo Polaków z tamtej okolicy.

Szliśmy, ~~zaje~~. Okrążyliśmy Dźwińsk, doszliśmy do Durmond, tu wsiedliśmy do pociągu (mieliśmy przecież pieniądze) i jedziemy do Wilna. Zrobiliśmy błąd. W pociągu zauważył nas jeden znajomy Litwin, przechodząc popatrzył na nas. Wysiedliśmy w nocy na jakiejś stacji przed Wilnem. Jak na nieszczęście śnieg zaczął padać, popadał, przestał. Ślady widać. Poszliśmy do znajomego przenocować. Ledwo położyliśmy się (do tej pory nocowaliśmy na mrozie w stogach siana itp.) (...) - psy zaczęły ujadać, NKWD z automatami wpada, otoczyli budynek. Koniec.

Związali nas, skuli, przywieźli do Pdbrodzia (na tym terenie w Santoce złapali nas), rano. Ręce związane do tyłu drutem - na pociąg do Tallina, do obozu. Tu do karceru. Karcer był z desek zбитy jak ustęp. Rozebrali mnie i tylko w spodniach i koszuli zamknęli. Celki wąziutkie. Pięć dni tam siedziałem i przez pięć dni nie spałem, bo gdybym zasnął - zamarzęłbym. Na dworze był mróz ok. 25 stopni. Kolega też siedział, nie wiem gdzie. Mnie traktowali specjalnie, bo miałem buty oficerki. Na któryś dzień strażnik rzucił mi kawałek chodnika, tą szmatą się trochę owinałem. Na piąty dzień przyniesli kociołek kaszy. Jadłem tak, że gębę sobie poparzyłem. Chciałem się ogrzać i najść. Zaraz stamtąd zabrali mnie do łaźni (...), zemdlałem tam, przewróciłem się, ciepło - a z łaźni do więzienia w Tallinie. Więzienie w Tallinie ma potężne mury, 4 m grube, była to kiedyś twierdza morska. Fale chłupią o ściany, przy dobrej pogodzie z okien Helsinki widać. Tak mi się udało, że moja prycza w celi stała koło grzejników. Ciepło, śpię sobie, przeżyłem. Rano budza mnie po estońsku, pokazują chleb dla mnie - już dali... Zaczeliśmy rozmawiać. Estończycy przychylni są Polakom, mają paczki, czestują. Był już rok 47.

Pierwszego kwietnia wyciągają nas z celi. Z tej ucieczki złapali niewielu - coś z 5 osób. Tam byli Rosjanie, uciekali na wschód, tam już była Rosja. Hersztów nie złapali, wiedzieli, gdzie iść. Znowu sąd. Śledztwa nie było. Pierwszego dnia odczytali tylko akt

oskarżenia, bardzo straszny. Na drugi dzień - wyroki. Kara śmierci. W obozie dano znać, że nas rozstrzelano.

t. II s. B

Już nas nie poprowadzili do celi, lecz do podwału, do cel śmiertelnych. Malutka cela, wąziutka, cement, pryczka deszczułka. Na korytarzu puszysty chodnik, nie słychać jak kto tam chodzi. Pojedyncze cele, światło padało z góry. Już człowiek nie wiedział, czy jaki dzień, jaka data. A był kwiecień, dni coraz dłuższe. Dawali palić ile kto chciał (...). Jedzenie podawali w ten sposób, że pukałi i kazali iść pod okno pod ścianę na przeciw drzwi, potem stawiali miskę i po jedzeniu znowu trzeba było miskę pod drzwiami postawić i iść pod okno. Trwało to do czerwca. Egzekucje odbywały się zawsze w nocy, koło godziny trzeciej, czwartej. Już były białe noce. Słychać było, jak szczękają zamki, wyprowadzają i słychać jak oni mówią. Bo to cisza tam panowała niesamowita. "Ruki nazad, (...) ze wsiem".

Pewnego dnia - pamiętam datę - 17 czerwca (a już wiedzieliśmy że siedzimy po jednej stronie) słysze trzask nad ranem. Jedne drzwi otworzyli, drugie, coraz bliżej, bliżej ("wychó!i!") i przychodzą po mnie. Jak usłyszałem trzask moich drzwi, to myśle - już koniec. Człowiek robi się jakiś drętwy, w ogóle już nie nadaje się do niczego. (Od tej pory człowiek był już nie taki jak kiedyś, gerój, jak o mnie mówili!) Kazali mi wyjść, ręce do tyłu. Popatrzyłem: znajomi. To nas wszystkich tutaj... Dziesięciu albo piętnastu strażników wszyscy doborowi, specjalnie szkoleni. "Powiernis, ruki nazad" - poszliśmy gębiego korytarzem na górę. Zaprowadzili nas do niedużego pokoju, zamknęli i poszli. A my już nię rozmawiamy ze sobą, nic. Patrzymy, okna zakratowane, nic nie widać. Przeszło pół godziny, godzina, nas nie biorą. Wreszcie "Może ktoś ma co zapalić?" - zaczęliśmy wytrząsać kieszenie, ~~xxxx~~ ale ognia nie ma. Słońce zaświeciło, zapomnieli onas chyba, co jest? Więc dziś nas chyba nie rozwalą, o tej porze nie, tylko do wschodu słońca to robia...

Nareszcie drzwi się otwierają, wchodzi dwóch: "No, niczewo, budiem żyt'! Widitie, nasz prawitiel charoszy. Otmieniajetsia: niet smierthnoj kazni! Tot siejczas wy dołżny rabotat', iskupit' svoju winu. Z-aczitajtie, skolko budietie w kakich łagrach, skolko budietie rabotat'. Budietie jeszcze charoszyje ludi!" Zaczęliśmy czytać po kolei. Znowu po 10 lat, ale już od daty 17 czerwca! Dwa lata, nawet więcej - poszło!

Znowu nas biorą do więzienia, ale już do cel "etapowych". Wzięliśmy po 10 lat "usilnego reżima" (Była ITŁ-y, spec-łagry, łagry usilnego reżima i katorga. Cztery rodzaje). Lato, ciepło, szykowali dużo ludzi na etap. Po paru tygodniach załadowali nas do wagonów. Przejeżdżaliśmy koło "naszego" obozu, popatrzyliśmy jeszcze na niego. (...) Ciekawi byliśmy, gdzie jedziemy. Wiozą nas przez Leningrad, wiozą na Wołogdę, z Wołogdy na północ. Peczora. Była tam już linia kolejowa. W Peczorze był punkt przesylny. Tam zgubiłem swoje go kolegę Aleksandra Piórkę. Już nie wrócił. (UWAGA, weześniej występuje jako Włodek Piórko) Stamtąd znów w wagony i jedziemy dalej na północ. Patrzymy: słońce świeci, a wszystkie śruby na wagonach białe - mróz. Dziwne i przerażające. Wjeżdżamy w tundrę. Po prawej stronie wysokie góry, Ural. Białe śnieg, blask, z nieba jakby pasy białe schodzą. Przerażające. Przywożą nas do Czumy (przed Workuta), stamtąd już wagonami platformami jedziemy dalej w prawo: Workuta - Vun. Budowa kolei przez Ural do Salechardu, już za kręgiem polarnym. Rozładowali nas. Najpierw trzeba zrobić, jak oni mówią, "pałatno" : przygotować drogę, teren, potem nasypy zrobić. Ziemne roboty, straszna rzecz. Jedzenie marne i praca. Nie wiem ile godzin na dobe pracowaliśmy. Nie osiem i nie 10 godzin.

Najpierw z miesiąc koczowaliśmy na mchu pod gołym niebem, namioty miał tylko konwój. Potem przyciągnęli na czymś w rodzaju ssań (płózy z dwóch sosen) szkielety różne i zaczęliśmy robić namioty. Miejscowi także w lecie używają takich "senek", ciągnie się je po miękkim zielonym mchu, którego 30 centymetrowa warstwa pokrywa

tundrę. Pierwszą zimę za kręgiem polarnym przeżyliśmy w namiotach jak stodoły. Była to zima z 47 na 48 rok. Człowiek był niesamowicie zmarznięty, zmęczony, nic nie miał. Niby ta prycza, ale ona umieszczona na wysokości gruntu, namioty nieszczelne, szpary w miejscu, gdzie brezent styka się z ziemią. Dwie beczki po benzynie jako piecyki po dwóch końcach namiotu. Węgiel był, beczki czerwone - całą noc siedzą przy nich ludzie, grzeją się. Ogrzeje się człowiek trochę i idzie się położyć. Marznie znowu i znów do beczki... I tak bez przerwy. Nareszcie "dyń dyń" - padjom. Chlupnęło się trochę lurki bałandy i znów do pracy, a praca ciężka. Odmroziłem ręce, ~~xxxxxxxięxxxx~~, pojawiły się na nich rany. Rękawic nie dali. Dali bieliznę, spodnie watowane i ciepłogrejkę, u której zawiązywaliśmy rękawy sznurkami, ale niewiele to dawało. Cały ratunek był walonkach, w nogi było ciepło.

Byłem już do niczego. Czasami narzekałem, myślałem: po co oni zmienili ten wyrok? Rozwaliliby i człowiek miałby spokój, a teraz taka męczarnia. Ni żyć ni umierać. Polaków nie było, tylko Ukraińcy i inni, polskiego języka nie słyszałem. Pod jesień dali jakieś "kołdry" i sienniki, ale wyszliśmy do pracy i jak wróciliśmy do namiotu, tośmy już nic nie znaleźli. Rządzili tu błatnyje, urki, kryminaliści, zabierali wszystko, objadali nas także.

Był punkt sanitarny przy bramie. Myślę: pójdę, może jakaś maść na ręce dadzą. Wszedłem, (felczer) popatrzył na ręce, kazał się rozpiąć, pomacał brzuch: "Niedobrze". I do drugiego: "Pisz jego na OP". Nie wiedziałem jeszcze, co to jest. Ten drugi mówi: "Skoriej, bo awtomaszyna odchodzi" - i do mnie: "Sobiraj wiszczi!". Ale jakie tam u mnie "wiszczi", nic nie miałem. Wsiadłem i wieźli nas całą noc. Przywieźli chyba do Czumu. Jechaliśmy rzeka Usa zamrzniętą, camochody tam prują w zimie jak po szósie. Rano już byłem na OP. "Poprawczy" punkt. Tam nie trzeba było nic robić, ludzie mieli nabrać sił. Ręce mi smarowali, leczyli. Ale zjadłem zupy z

turnepsu (gorzka żółta rzepa, coś w rodzaju rzodkwi) i strasznie mnie żołądek bolał. Byłem już zresztą wycieńczony, zasłabły - zważyło mnie to, leżę półmartwy, myślę: będę umierał. Nawet już bólu nie czułem. Nad ranem przyszła pielęgniarka, zawiozła mnie (nawet bez konwoja) do Abieźni do szpitala. Zaczęli mnie badać. Miałem zapalenie pęcherza moczowego, chirurg mówi, że trzeba operację zrobić. Okazuje się, że lekarz jest Litwinem. "Zemlan? - ja ciebie wylecze tak, bez operacji. Niewytrzymasz jej". Położyli mnie przy ustępie, dostawałem dużo płynów. Poprawiłem się, już mi lepiej. Raz był obchód, akurat przy mnie na szefeczoce postawili lekarstwa. "Ziałem i odczytuję ich nazwy. "A ty ot kuda umiejesz?" - "Przecież to nasze litery, znam je". - "Wot, nam takiego nada!" I pracowałem w szpitalu! Już jedzenie lepsze, choć obozowe, ale szpitalne, poprawiłem się. Byłem tam prawie rok. Tam też spotkałem pewną Basię spod Wilna, była pielęgniarką, usiłowałem się zaznajomić, ale nie chciała, nic o niej nie wiem.

Pytałem czasem, czy kiedykolwiek uda mi się wrócić do kraju. "A wy czto? Wy nie Polaki, was rodina otkażalas; wy prestupniki, nie imiejecie rodziny! Ona nie chce was znať". Dowiedziałem się nie tak dawno, już po powrocie, że w 46 roku Osóbka-Morawski podpisał pakt: skończyła się repatriacja, więcej Polaków w ZSRR nie ma.

W szpitalu byłem niecały rok. Wypisali mnie i rzucili do takiej samej jak przedtem pracy. Była to budowa kolei dalej na wschód. Przebijamy się przez zapolarny Ural do Salechardu. Kiedy mnie tu przywieśli, miałem czystsze ubranie, wyszykowałem je sobie w szpitalu. Kiedyś (przyszliśny chyba z nocnej zmiany, bo był dzień) wszyscy śpią, a ja siedzę na pryczy i coś sobie zszywam. Przychodzi jakiś facet: "Ty partnoj?" - "Partnoj" (krawiec) - odpowiadam. "So-birajsia, pajdiom?" (...) Chce mnie brać do zakładu krawieckiego! Dobrze, szykuje mi się coś lepszego! Pracownia krawiecka wydzielona niedaleko bramy. Hierownik pyta, czy szyłem. Szyłem, dlaczego nie? "A znajesz maszynę?" Maszynę do szycia znałem, nieraz mamie napre-

wiałem mamie. Pokazał mi maszyny, stała, ale szpulki i części były, choć wyciągnięte. Momentalnie założyłem, zacząłem kręcić, on wpatrzony... Szyć jednak nie umiałem, więc mu mówię, że darmo tego nie robiłem, oduczyłem się. "Nie szkodzi, poszyjesz, przypomnisz sobie". No i katałem odzież roboczą. Dobre i to: ciepło, praca lekka, nie trzeba iść na mrozy. Z pół roku chyba tam pracowałem, to był przełom 48 i 49 roku. (Tam czas wydłużał się strasznie!) Znowu pracowałem przy robotsch ziemnych, gdy zdarzyło się coś, o czym chcę opowiedzieć: Kiedyś prowadzą nas rano, śniegu dużo, przechodzimy koło garnizonu, konwojenci mieli tam jakąś sprawę. A były tam psy policyjne, z piętnaście specjalnie szkolonych psów, które miały być i akurat dano im żarcie: przy każdym stoł i rondelak z kaszą. Przechodzimy, patrzymy, że psy jedzą. Ktoś podszedł, zabrał psu rondelak - pies odszedł i patrzy! Ten kaszę gdzieś do buszłaka wywalił, drugi, trzeci robi to samo. Wszystkie psy oddały nam kaszę! Nawet nie warknął żaden! A kasza świetna. Inatynktem chyba wyczuły, że jesteśmy głodni. Dziwiliśmy się, bo psy specjalnie szkolone policyjnie, a tak łagodnie nam to oddały.

Po jakimś czasie szykują etap. Nie wiem, według jakiego klucza wybierali więźniów na ten etap, ale formowali go surowo, srogo, psami szczuli, gonili. Stłoczyli nas w wagonach, zabrali walonki i dali na to miejsce "czunie". - rekawy od buszłaka czy waciaka, naciągasz to jak pończochy. Dali też "Kordy", kalosze z płacht rwanych opon, niekształtne, nogi wykręcają. Powyrzucaliśmy je. W wagonie i na bosaka można siedzieć, chociaż zima (był luty 1949).

Wszyscy mówią, że teraz pojedziemy chyba na południe, już dosyć tego! I wiozą nas na południe: znowu Peczora, Kotłas, Wołogda, a z Wołogdy ciach! - zawracają na wschód! Pociąg cały sprzężony, osnuty drutem kolczastym (także okna). Na pierwszym i ostatnim wagonie na dachu reflektory i stanowiska karabinów maszynowych. W czysie podróży dają suche słone ślędzie, jest jakaś beczulka z wodą. Pociąg jedzie czasem i trzy-cztery dni bez przerwy, czasem na

boczniczy stanie i stoi trzy-cztery dni. Jest wagon kuchnia, wtedy ją uruchamiają i dają jakiś ciepły posiłek.

Przejechaliśmy Ural, Omsk, Nowosybirsk - tam potężne kęcznie.
tasma III s.A Po łaźni, z powrotem do wagonów i jedziemy dalej przez Krasnojarsk do Tajszetu. Obozy tajszeckie. Tu znowu ciągniemy kolej kolej - na Brack i budujemy most na Czumie. Na szczęście przy tym moście byłem wszystkiego z tydzień, potem trochę pracowałem w cegielni. Wiosna. Była tam kopalnia gliny, wyrobisko, ściana gliny o grubości 8 metrów. Pod spodem piasek. Żeby w zimie można było z tego korzystać, jeszcze latem zbierali wierzchnią warstwę ziemi, kładli na to belki, na belki deski, różne obrzyny, zasypywali to trocinami, na to jeszcze warstwą ziemi - żeby nie zamarzało. I potem drażyli jak w kopalni.
(...)

Zamieszkaliśmy w barakach po jeńcach japońskich (widzieliśmy ich jeszcze jak wychodzili z obozu). Był tam jeszcze sprzęt japoński narzędzie ciekawe, nawet pralki w pralni! Zrobili je sobie z beczek, motowidło, korba - ale Rosjanie to wyrzucili, nie pozwolili ich używać: Japończycy zrobili, więc to się nie nadaje...

Zapomniałem powiedzieć wcześniej, że na Workucie obóz był co trzy, co pięć kilometrów, a przy każdym obozie cmentarz. Każdego rana po pobudce dwóch albo trzech nie wstawało, już byli sztywni na pryczach. Tam pełno cmentarzy. A tu, koło Tajszetu, był cmentarz japoński, a tuż obok cmentarza to wyrobisko, kopalnia gliny. Przyszła wiosna. Akurat przy maszynach miałem dyżur (były tam różne maszyny), siedzę i drzemię. Raptem słyszę jakiś szum: z wyrobiska myszy uciekają po belkach! Cała ściana wali się, płynie wodospad wody i lecą jakieś skrzynki. W skrzynkach były kości Japończyków. Wiosna tam przychodzi raptownie w ciągu trzech dni, śniegi topnieją i powstają jeziora. Na gorze powstało właśnie takie jezioro, wyrwało ścianę i brzeg cmentarza - wszystko to runęło w dół. A ściana wysoka na 8 metrów! Nikt na szczęście nie pracował tam, ja uciekłem po wyciągu dla wózków na górę, a woda rozeszła się po całym wyrobisku w doli-

nie. (...). Ale przestraszyłem się: skrzynki lecą i szkielety. (...). W okolicy Tajszetu byłem z półtora roku, nie cały czas w cegielni. Zrobiono mnie potem brygadziście brygady remontowej. Remontowaliśmy budynki, zbudowałem nawet dla nich szkołę niedaleko Tajszetu. Inżynier, który miał dokumentację tej szkoły (miała być jednopiętrowa, drewniana, z tzw. gładkim, niemieckim węglem. Rosjanie tego nie znają, ale ja i jeszcze jeden Rosjanin podjeliśmy się spróbować. Inżynier więc zarządził coś w rodzaju konkursu między nami: lepszy poprowadzi budowę. Przynieśli belki, z jednego końca ja robię, z drugiego on; on podgląda mnie. Ja na to: "Konkurs, to konkurs, ja do ciebie nie biegam, nie podglądam, a tył czego to robisz?". Wreszcie przechodzi inżynier: ja zrobiłem prawidłowo, on źle i ja poprowadziłem budowę. Materiał był - tam lasy, piękne drzewa - z jednej sztuki bywało i 14-15 metrów sześciennych desek. Wodrzewie do 40 m. wysokie, ale i sosny piękne i zdrowe. Był tartak, pierwszorzędny materiał dostarczali nam na budowę. Zaczynamy już robić stolarke (...). Każdy z nas miał miarkę przez siebie zrobioną z listwy, na końcu trochę nadpaloną, bo czasem ogień się nie poprawi. Pomierzyłem swoją miarką drzewo na futryny, okna. Pocieli. Przychodzę, patrzę: malutkie jakieś, na oko widać, że z 10 cm za krótkie! Co jest! Aż mi się ciepło zrobiło. Biorę swoją miarkę, mierzę - w porządku. Siegam po metr składany, sprawdzam - 10 cm brakuje! Dlaczego? Podchodzi do mnie jeden Rosjanin spod Bobrujska: "Wiesz, to tamten się zemścił na tobie. Uciał ci z twojej miarki 10 centymetrów, ~~podpax~~ przypalił trochę koniec i nie kapnąłeś się. Jak odchodziłeś do siebie desek to ci urządził taką sztukę!" - "A poświadczysz?" - pytam. "Tak" - zły był na niego. Poszedłem od razu do inżyniera i mówię, że zepsułem tyle a tyle materiału (...). Inżynier był dobry człowiek, nie chciał sądu, sprawy nie założył (...). Dorzucił trochę materiału. Było lato, mieliśmy nieźwisdka, który przychodził do nas bawić się (...), kończyliśmy szkołę, a jeszcze po swojemu kombinowałem ozdoby takie jak u nas, ładnie to wychodziło.

Ledwie skończyliśmy budowę - zabierają nas znów na etap. Z tam-
gi naściągali ludzi do miejscowego punktu przesylnego. Byli tam i
więźniowie artyści: sławna śpiewaczka Rusłanowa, bas Zerbcow (opa-
lony, gdzieś na wyrębie był). Wszyscy do niego: zaśpiewaj! Zaśpie-
wał o bradziadze znad Bajkału, zaczął płakać - daliśmy spokój.
Był rok 51. Przygotowując nas do etapu zawsze robili "szmon" (rewi-
zję). Odbywało się to tak: na placu obozowym stawiano stoł, za sto-
łem cała władza, na stole kartoteki wszystkie. Sprawdzą personalia
a potem ktoś przychodził, odprowadzał więźnia i rewidował. Rozbie-
rali do naga, wysypywali wszystko z worków. Miałem trochę zdjęć z
domu (w Tajszecie nawiązałem już łączność z domem), rozsypali je,
wiatr je rozniósł. Zacząłem biec, zbierać, krzyk - myśleli, że ucie-
kam. Kiedyś patrzę na moja kartotekę, a na teoczce czerwona gruba
krecha po przekątnej (...). Okazało się, że to znak specjalny - u-
ciekałem z obozu. ("Czto ty, nie znajesz twoje dzieło na toboj bu-
djet wsio żyzn chodit")

(...) Załadowano nas znów do wagonów. Nie mówią, gdzie nas
powiozą, wszystko to to tajemnica. Pociąg ruszył - jedziemy w stro-
nę Irkucka, dalej na wschód... Minęliśmy Bajkał (piękny, bo lato a
kolej nad samym jeziorem). Trasa tuneli, chyba ze czterdzieści. Co
pociąg wyskoczy z tunelu - znów tunel! Po lewej stronie woda, po
prawej ściana gór. Pierwsze miasta Ułan-Ude, potem Czita.

Jeszcze jeden epizod: gdzieś na Zabajkału dano nam suchy prowiant
kupę suchych śledzi i beczułkę z wodą, trochę chleba. My, starzy
żagiernicy, wiedzieliśmy, że dużo słonych śledzi jeść nie warto, więc
tych ryb nie ruszaliśmy, cierpieliśmy jakoś o odrobinie chle-
ba i wodzie. Na zabajkału stanęliśmy na dłuższy czas (długo przed-
tem jechaliśmy bez przerwy), transport się zatrzymał, słychać, że
uruchamiają kuchnię. Prosimy, żeby otworzyli drzwi wagonów, bo mu-
simy wyrzucić śmierdzące już śledzie. Wysypywali je z wagonów mię-
dzy tory, z wszystkich prawie. Zamknęli nas znowu w wagonach, patrzy-
my przez zadrutowane okienka: najpierw dzieci zauważyły, że między

torami śledzie jakieś leżą. Nabraly ich i pobiegły. Za chwilę zbiegli się ludzie dorośli: przepychali się zbierając ryby, bili się o nie. Smialiśmy się i dziwili (...). Nie więźniowie to przecież byli, lecz ludność cywilna - głodna.

Jechaliśmy dalej na wschód. Chabarowsk, w Komsomolsku przeprawa przez Amur promem. Cały pociąg po trzy czy cztery wagony stawiali na promie płaskim. Nic nie widzieliśmy, zamknięci, było tylko słychać zgrzyty i brzęki urządzeń. My w zamknięciu. Jakby się coś stało, nikt by nie wylazł, bo wszystko zapieczętowane, mogliby nas potopić. Pamiętam, że pić mi się chciało, zasnąłem i śnił mi się sklep pełen oranżady na półkach, ale nie mogłem dosięgnąć butelki... Przeprawiliśmy się i jechaliśmy dalej, aż do Bucht Wani. Jest tam centralny punkt przesylny, całe miasteczko, ponad 50 tysięcy więźniów i jeszcze NKWD. Dziewiętnaście stref (zon), w każdej ok. 3 tys. więźniów. Każda ze stref jak obóz ogrodzona wysokim ponad dwa metry płotem z desek, szczelnym, nie widać, co jest wewnątrz - tylko dachy. Idziemy koło strefy kobiet, a przez szczeliny zaglądały dzieci. Widzą, że idą mężczyźni i krzyczą: "Papa, papuszkę" - tęsknią za mężczyznami. Więźniowie z różnych zon widocznie wiedzą, że etap przyjechał, bo niektórzy siedzą na dachach, krzyczą, wyzywają. Siedzieliśmy z pięć godzin, zanim znaleźli dla nas miejsce i wprowadzili do zony. Widzieliśmy walke między strefą suk i worów, walili przez płot kamieniami, bili się. Nie można ich inaczej uspokoić jak karabinami maszynowymi: dopiero jak zaczęła strzelać następuje cisza. A my już z Tajszeta jechaliśmy bez kryminalnych - a tu nas wsadzili do zony razem z nimi. Co tam się działo!!! Trzy dni nie jadłem, czekaliśmy, jak to się skończy. Tu mord, tam mord - obsługa tylko bramę otwiera i ciała za nią rzuca... Kryminalni odbierali chleb, jedzenie. Myślałem wtedy: żeby ktoś nagle z Europy tam przybył i zobaczył, co się dzieje, nie uwierzyłby, że to na ziemi jest możliwe! Myślałby, że to inne planety. ~~Nas~~ Przyprawiali ^{takich} i "róbcie co chcecie".

Obsługa nic nie mogła zrobić, zresztą może specjalnie tak działali: dla wyniszczenia.

Po dwóch czy trzech dniach nareszcie wyczytuje nas, zabieramy się "s wiszczami", idziemy do portu - już bez kryminalnych. W porcie jakby fiordy, morza pełnego nie widać, dookoła góry, statek przy nich wygląda mały, stoi w jakimś bajorku... Statek nazywał się "Dzierżyński". Załadowali nas po drabinach do ładowni, siedzimy. Płynęliśmy więcej niż tydzień między Sachalinem a lądem (nie między Japonią a Sachalinem), ci, którzy znali tę trasę, mówili, że niebezpieczna, bo skały podwodne. Ale jakoś szczęśliwie płynęliśmy. Początek września był chyba (...). W ładowniach były porobione półki-pryce chyba czteropiętrowe (...), każdy trzymał swoje rzeczy. Miałem poduszeczkę z jakiejś watówki, jakiś woreczek, zdjęcia. Noży i ostrych narzędzi nie wolno było mieć, wycinali nawet metalowe guziki. Dawali regularnie jeść na statku, przynoszono w beczkach bełandę. Byliśmy na pełnym morzu, kiedy nastąpił sztorm, taki że woda zaczęła chłupać aż do ładowni. Było ciemno, w nocy usłyszałem jakieś głosy: jakiś rosyjski prorok (prawosławny, czy świadek Jehowy, nie wiem) zaczyna wszystkich nawracać, wzywa do modlitwy, bo koniec świata będzie, poginiemy wszyscy niedługo. Będą wielkie nieszczęścia, ale męczarnie nasze szybko się skończą, a gniazdo potwora, który nas męczy, zamieni się w dymiące bagno. Przyjdzie czas, że na jakiś plac ludzie będą znosić legitymacje partyjne i palić je na ognisku. Takie rzeczy prorokował. Do rana uspokoiło się.

Przypłynęliśmy do Magadanu. Ze statku wieźli nas przez miasto samochodami. Po drugiej jego stronie było lotnisko i obóz ogrodzony. Nie baraki, lecz namioty (...). Byliśmy tam ze dwa tygodnie, używali nas do prac porządkowych. Czekaliśmy na "przwdział". Kiedyś w klubie spotkałem tam Rosjanina Bursęgowa, którego znałem jeszcze z Workuty (...). Pracował tu ^w jako KWCz (Kulturalno-wospitalnaja człast). Mówił, że może postara się, abym tu został. Ale rozeszliśmy się.

Str. B

Straszono nas Kołymą. Mówiono, że stamtąd nikt jeszcze nie wrócił, i prawda, że jak nas wieźli w tą stronę, to nikt jeszcze nie wracał. (...) W tym obozie było trochę wojskowych Rosjan, którzy byli na froncie (...) Jeden z nich spotkał znajomego lotnika z frontu (obok obozu lotnisko!), jakimś cudem porozumieli się, w nocy uciekli samolotem do Japonii. Ucieczka się udała, potem dowiedzieliśmy się, że Japończycy odesłali samolot - bez nich. (...)

Stamtąd jedziemy dalej. Dobierają nas, samych politycznych (Polaków było niewiele, dużo Ukraińców banderowców czy własowców i Rosjan) i ładują na odkryte samochody ciężarowe. Przy szoferce barierka z desek, siedzi tam czterech konwojentów z bronią, do skrzyni pakują nas chyba po dwudziestu, stoimy jeden przy drugim. Rozamykali burty i kazali wszystkim usiąść, bardzo ciasno było. Kolumna cała, chyba z 50 samochodów, ruszyła. Jechaliśmy chyba ze trzy dni, prawie się nie zatrzymując. Swoje potrzeby ludzie zakatwiali pod siebie. Nawet jak zatrzymywali kolumnę ciężko z tym było, bo strasznie pilnowali - chociaż kto by tam uciekał? Odjechaliśmy jakieś 100km na północ, a tam już śnieg, mróz, góry białe, sopki. Między sopkami nasza droga się wiję. Czasami straszno było: z jednej strony góra, z drugiej przepaść. Żadnych barierek, nic, a droga zwykła, żwirowa. (...) Widać wraki samochodów gdzieś w dole, pełno ich. Tam jak kto wpaść, to już do widzenia - wysokość przepaści 500 albo i więcej metrów. Góry gołe, żadnej roślinności.

Przywożą nas na miejsce, kolumna staje. Białko wszędzie, nie widać obozu, tylko spod śniegu rurki wystają i dym z nich wychodzi. Obóz w ziemiankach! Miejscowość nazywała się Budugyczak. Uran. Buduje się tu fabrykę, a jakieś trzy kilometry dalej jest kopalnia, szyby, kompresornie. Rozdzielają nas: część idzie do pracy w kopalni, część przeznaczają do budowy fabryki (przeróbka uranu). Obóz jest przy fabryce. Segregują nas, pytają, kto ma jaki zawód. Mówię, że jestem mechanik, ślusarz. "A tu napisano, że jesteś budowlaniec!" (Zapisałi, że budowałem pod Tajszetem). Ale jako "stroitiela" zostawili mnie

że budowałem pod Tajszetem). Ale jako "stroitiela zostawili mnie na budowie, nie poszedłem do kopalni. (...) Budowaliśmy te fabrykę i mówili, że jak ją zbudujemy, będziemy montować maszyny i pracować w innych warunkach. Wiedzieliśmy, że tu jest uran. Mosowicz też tam pracował, chodził do kopalni. Razem spaliśmy, jedliśmy. Jak wracał z kopalni to wyglądał jak młynarz, sypał się z niego pył (...), nos miał nim zatkany. Drażyło się przecieź skale, ten pył osiadał w płucach, tego się nie odkaszliwało jak pył węglowy, który jest lekki).

Żywnienie było trochę lepsze niż gdzie indziej. To miesiącu fabryka daje nam dodatkowo prowiant: konserwy, mąkę, masło i cukier. Sami z tego robiliśmy różności, z mąki zacierki (...), zdobyliśmy nawet drożdże w kuchni, zarabiali ciasto. Zarobisz sobie, w brytfance do kuchni zanieziesz, to ci upieką i masz coś do jedzenia. Pamiętam, kiedyś zarobiłem ciasto, a tu "rozwód" - trzeba iść do pracy! Biegnę do kuchni, stawiam to, nie chcę przyjąć (...) "Tracem z pracy, patrzę, a na mojej "tumboczce" (mała szafka przy pryczy) mój placek upieczony stoi - koledzy przynieśli.

Stosunki między narodowościami wszystkimi były w porządku. Nie było zadrażnień. Było tu trochę Polaków, Ukraińcy, Rosjanie.

Gorzej z tym było na Worskucie. Gdy pracowałem tam w pracowni krawieckiej (byli tam i szewcy), potrzebny był mi ostry szewski nóż, sięgnąłem po nóż szewca Ukraińca, zaczął mi go odbierać i wyzywać mnie. Ja na niego "Chochoł", on "Lach preklatyj, Mazur" - rozdzielił nas majster. W tejszeckich obozach jak byłem, przysłali nowych więźniów z Ukrainy - młode zdrowe chłopaki. Kiedyś czterech uciekało do tajgi. Zastrzelili ich i przy bramie przy wyjściu nago położyli. Leżeli tak kilka dni, popuchnieci (było ciepłe lato) - żeby wszyscy widzieli. Dopiero jak ciała zaczęły cuchnąć uprzatnie to je. (...) W Worskucie także była ucieczka Własowców. Opanowali cały jeden obóz, zawładnęli transportem i żywnością, wyszli w góry. Chodziło im o to, żeby przedostać się przez Ob, wszyscy mówili, że

jak się przez niego przeprawią, to nikt ich nie znajdzie - tam już tajga syberyjska. Samoloty latały nad górami, szukano ich.

Wracam do stosunków między więźniami na Kołymie. Była solidarność. Pracowaliśmy na budowie, potem zaczęli ściągać różne maszyny. Zaczęliśmy je montować. (Do tej pory znam całą technologię przeróbki uranu). Jak wykończaliśmy fabrykę, obóz przy niej został zlikwidowany, a nas przeniesiono 3 km wyżej. Był tam bardzo duży barak, dom wybudowany przez Amerykanów jeszcze w czasach wojny. To Amerykanie odkryli im ten uran i oni eksploatowali jakiś czas, dano im to w dzierżawę. W zamian za urządzenia wojskowe pozwolili penetrować ten teren.

A więc dochodziliśmy teraz do fabryki. Już ją uruchomiono, przeszliśmy na montaż i pracowałem przy konserwacji maszyn. Dość potężna była ta fabryka, cała masa urządzeń. Mój kolega pracował na podstacji i pierwszego sierpnia (rocznica powstania warszawskiego) rozmówiliśmy się, że zrobimy godzinną przerwę w pracy. Wyłączył prąd i cała fabryka stanęła. Biegna do niego: co jest? A on chodzi po podstacji, laską ebonitową tu i tam uderza - coś niby wysiadło, szuka. Wiedział dobrze co, wiedzieli wszyscy Polacy. Wreszcie włączył, ruszyło znów wszystko. Potem ten Nosowiec przeniósł się na przeróbkę.

Tę kopalnię zwiedzakom, pojechaliśmy tam kiedyś. Były sztolnie, chodniki poziome, w górę i w dół - bo drażyli za żyła uranu. Aparaty go wykrywały, ciągle robili namiary. Gdzie uran, wierca, robie odstrzał, urobek zabierają na samochody i do naszej fabryki, a tam znowu namiar i od nowa. W fabryce szczegółowo łamiał bryły (maszyny angielskie i amerykańskie). Walec mimośrodowy (jak beczka) rozgniatał kawały, wychodził stamtąd już żwir. Taśmy kubekowe wyciągały to na wieżę na sita itd. Chodziło o to, żeby zemleć to jak najdrobniej. Potem kwasami się to roztrawiało. (...) Nie byliśmy w żaden sposób chronieni przed promieniotwórczością. Blenda uranowa zapełniała się zbiorniki, zasypywało się miakiem. Ładowało się olbrzymie

zbiorniki, 200 metrów sześciennych każdy, pod spodem były płyty-filtry. Grubość urobku ok. metra zalewano się mieszaniną kwasu siarkowego i solnego. To dwa dni zalane stało, potem otwierano się zawory na dole i stamtąd wypływał zielonkawy płyn. Przepompowywano go do zbiorników na górę - były to duże zbiorniki metalowe wyłożone w środku gumą (była na miejscu wulkanizacja także). (...) Była też na miejscu bardzo potężna kotłownia opalana miękim węglowym. Dwa kotły-cylindry, jeden na dole, drugi na górze, połączone ze sobą rurami żebrowymi (...). Wszystko to było tajne, ukryte tak, że z zewnątrz prawie nic nie było widać. Kominy były poziome z rozgałęzieniami, żeby dym ukryć, cała fabryka w kotlinie, przyklejona do stożku góry, zbudowana z nieobrobionego kamienia. Wewnętrzne ściany wyglądały jak kupa kamieni, nawet małe otwory okienne były maskowane. Wewnątrz elegancko: gładkie ściany, elektryczność. Prąd mieliśmy z Arkagały(?), szła do nas linia wysokiego napięcia.

Pracowałem na trzy zmiany po 8 godzin. Gdy fabryka już normalnie funkcjonowała, przestali nam dawać prowiant. Za to gdy przychodziło się do pracy, oddawaliśmy zwykłe ubrania i dostawaliśmy ubrania robocze (tzw. "specówki"), po pracy kąnia, kąpiel - wkładamy znów swoje ubrania, a przy ubraniu już talon na obiad w stołówce. Obiad z trzech dań, jedli tam i wolni i więźniowie. W ostatnim roku pracowaliśmy po 6 godzin dziennie na cztery zmiany. Na wigilię 52 roku udało się jednemu zostać i przygotować kolację wigilijną z tego, co mieliśmy (zrobił pierożki z konserwy, jeden z wata w środku dla zabawy). (...) W baraku ustawiliśmy stoły nakryte białymi prześcieradłami i ci, którzy akurat nie byli w pracy, mieli wigilię. I już cały czas pracowałem w tej fabryce. Były tam zaczoty, a mnie dwa zaczoty przytrafiły się specjalne, była okazja, żeby je złapać. Kiedyś przyjechała komisja i zwróciła uwagę, że wentylatory wyrzucają bardzo dużo pyłu uranowego na płaskie dachy fabryki. I że w tym pyłu jest uranu najwięcej. Mechanikiem był młody chłopak po wojsku

(tam się urodził, tam zdobył wykształcenie, a przyrodę południa znał tylko z filmów - mieliśmy kino), powązał mnie. "astanawiamy się co robić z tym pyłem. Powiedziałem mu, że potrafię zrobić urządzenie które zda egzamin. Na razie rysowałem to sobie. "ostałem kilku ludzi i zrobiliśmy takie silosy jak na cement, tylko mniejsze. ⁴ wentylatorów więc powietrze wpuszczane było do zbiornika, do którego przez kilka otworów wpuszczano parę. Para "łapała" cały pył i osadzała go. Otwierało się szyber na dole i każdego dnia uzyskiwało dwie-trzy taczki mazi, a dachy były czyste. Dostałem wtedy porządnie zeczotów. Drugi raz nadarzyło się też: wołają mnie do naczelnika i mechanika, naczelnik ma przed sobą jakąś dokumentację. Otrzymali z Niemiec pompę próżniową, dokumentacja po niemiecku, nie mogą jej odczytać. Pytają mnie, czy znam niemiecki, "przecież alfabet taki sam macie, my mamy alfabet jak Bułgarzy i wszystko rozumiemy". Podjąłem się. Troszkę znałem niemiecki, a gdzie nie rozumiem, próbuję bez dokumentacji. I zmontowałem tę maszynę. Nie sam, z ludźmi. I też dostałem zeczoty. Ale nie wiadomo, czy zeczoty by pomogły, gdyby Stalin żył.

Tajsona IV s. A

(...) Straszili Kołymą, ale warunki bytowe ja miałem nienajgorsze. W dużym budynku każda brygada miała osobne pomieszczenie. Do pracy 3 kilometry. Po powrocie ze zmiany już nam się nie chciało iść na kuchnię, chodziliśmy tam tylko, żeby sobie wziąć kwasu chlebowego do picia, robili go. Śniadanie jedliśmy w obozie. Było masę produktów, robili nawet pączki. Od czasu do czasu łaźnia (...). My, "fabrykanci", jak nas nazywano, mieliśmy się nieźle. W każdej sekcji był głośnik, dniewalny robił porządki, gdy wychodziliśmy do pracy. Były kłopoty z wodą. W zimie woda była tylko ze śniegu w obozie. Fabryka miała wodę ze źródeł, w skale był wydrążony olbrzymi zbiornik (...). Z osiedla koło obozu przyjeżdżano do fabryki po wodę beczkownikami. A nam jej brakowało. W kuchni specjalną rynną wpychano w zimie śnieg do kotłów, a w baraku stała beczka z kurkiem i dniewalny przynosił do niej śnieg. Nie wiedzieliśmy, skąd. Aż raz

woda śmierdząca nieprzyjemnie, więc wszyscy do niego: "Skąd brałeś śnieg?" Okazało się, że z miejsca, gdzie więźniowie czasem się zataiwiali (...). Patrzymy: na dnie beczki kak... I ludzie to pili! Ale chorób nie było. Ja raz miałem jakieś rozwolnienie, wiem, że badali, czy to nie z promieniowania. Ale przeszło.

53 rok. Głośniki włączone. Raz liczyliśmy, ile razy od pobudki do wyjścia do pracy wymienia imię Stalina, jeden uważnie liczył. 80 razy w ciągu półtorej godziny! W marcu już Stalin chory (może wyzdrowieje?), raz jesteśmy w fabryce, przychodzi nowa zmiana i przynoszą nam wiadomość: Stalin zmarł! Szum - co to będzie? Konwój zbierał się, nie wiedzieli, co z nami robić. Wychodzimy z fabryki za bramę. Zawsze odbywało się to srogo: dwóch z tyłu, dwóch z przodu, dwóch po bokach z bronią, my piątkami, "krok w prawo krok w lewo będzie uważany za ucieczkę i użyjemy broni bez uprzedzenia" itd. Czasem się znecają, każą padać w śnieg, mróz (a my mieliśmy blisko, więc nie ubieraliśmy się specjalnie ciepło), przetrzymują na zimnie. (...) Dziś na nas nawet nie krzyczą, tylko proszą: "Ciszej, ciszej!" Wiedzy fabryką a naszym obozem był garnizon. Patrzymy, wisi flaga z kirem. Ludzie w szeregu krzyczą a oni tylko: "Ciszej, ciszej!" Weszliśmy do zony, a tam jak w ulu. A dozorczy tu także tylko chodzą i proszą, żeby ciszej... Nie wiedzieli, co z tego będzie. Ale po kilku dniach uspokoiło się - prawie nic się z nami nie zmieniło, tyle tylko, że zaczęli zwalniać tych, którzy już odsiedzieli swoje wyroki.

Przez rok czy dwa ostatnie lata płacili nam. Pieniądzy do rąk nie dawali, ale w sklepiku mogliśmy sobie "wypisać" na jakąś sumę. Było masło, konserwy, cukier, dżem, nawet cytryny. To już był 53 rok. Brałem sobie masło, cytryny. Z blachy zrobiłem baniaczek szczególnie zamykany, do kwasu chlebowego wleśnałem soku z cytryn (aż pachniało!), a po paru dniach otworzyłem: "Chłopeki, spróbujemy!" Otworzyłem baniaczek - piens, nalewam, pijemy. A Rosjanie: "Jak ty to wydumeł? Wy wsio wydumajecie!" - z uznaniem. Im by to do głowy

nie przeproszę. (...) Jest rok 54. Odjechał już Nosowicz i kilku znajomych. Ale wiadomo już było (mechanik np wędział), że także termin mojego zwolnienia się zbliża. Dali mi dziesięciu ludzi, żebyśmy zakonserwowali maszyny, które zostały usunięte z fabryki, zastąpiono je nowszymi. Stały przy drodze na placu za drutem. Pogoda była piękna, ozerwiec, siedziałem sobie i pilnowałem ludzi, którzy te maszyny konserwowali, smarowali, owijali szmatami, bo to sprzęt drogi, amerykański i szwedzki. Maszyny górnicze do mielenia soli uranowej (...) miały sита i młynki ze złota. (...) Kiedyś tak siedzę: idzie z góry zmiana drogą i przez płot krzyczą ludzie: "Wysocki, sobieraj-sia, już szukali cię w obozie!"

Nadzierateli, już bez konwoju, poprowadził mnie do garnizonu. Niepokoje się: co będzie? Przychodzimy. Siedzi za stołem dwóch majorów, kapitan, patrzą na moją teczkę z krecha! "Jego wypuszczać? Jego nie nada wypustit!" Ciarki mnie przeszły - nie puszcza, choroba! Prawdę kiedyś mówili, że ta krecha będzie ze mną chodzić całe życie! Ale kapitan, Gruzin, wziął moje papiery do ręki: "Popatrzcie, jak się dobrze prowadził w obozie, zaszoty ma (...)" Wszystko przy mnie, na głos. Powiedział nawet: "On Poliak, za sóich barońsia" - pamiętam te jego słowa jak dzisiaj. "On choroszyj człowiek". (...) Wreszcie: "Dziś jeszcze nie, za parę dni. Musimy zebrać kilka osób, jednego stąd nie będziemy wieáli!"

Jeszcze chyba ze trzy dni siedziałem. Wszyscy szli do pracy, a ja chodzę sam po placu jak głupi - ni to wolny, ni więzień. Listy od rodziny już dostawałem, kiedyś nawet ojcu posłałem trochę pieniędzy (mieszkał dalej pod Wilnem) z konta i ojciec podobno kupił sobie sieci, żeby ryby łapać. Z agnali go do kołchozu paść owce, pasł je z wójtem Dubickim, potem wspominali w Olsztynie, jak to szlachta nasła i jak im owieczki kradli w kołchozie.

W fabryce była pracownia krawiecka, szewska, stolarska. Krawcy robili z sukna olbrzymie płachty, którymi wykładało się dna zbiorników na kwasy. Na zasady materiał był bawełniany.

Koledzy uszyli mi, oczywiście nieoficjalnie, buty, spodnie, kurtkę, ubranie. Pożegnałem się z nimi (...), zwłaszcza z majstrem Toporkowem, Kozakiem dońskim, który jeszcze w 20 roku z Polska walczył. Zawsze w listach prosił żonę o herbatę, używał jej jako narkotyku, parząc w puszcze po konserwie. Jak naciągnęła, była jak smoła, saczyli ją. Wciągnięci w to byli żółci jak Chińczycy (....), mnie nie wciągnęli, ale dobrze żyłem z nimi.

Po trzech dniach nas zabrali, sześć osób, przeważnie Ukraińcy. Wypłacili nam pieniądze, dostałem ok. 1000 rubli. Jechał z nami jakiś enkawudzista. Chyba w Arkagale zatrzymaliśmy się, weszliśmy do restauracji. Dziwnie mi jakoś - pstrzę, gdzie za mną konwój z karabinem? Dziwnie mi bez konwoju po tylu latach, boję się, że jak się ruszę, to wyskoczy i będzie do mnie strzelał. Trwało to kilka dni, zanim się człowiek przyzwyczaił.

Przywieźli nas do Ustiumczyka do hotelu robotniczego, zostawili tam jakieś nasze dokumenty (nam nic nie dali). Przychodzi brygada z pracy: "O, mamy nowych robotników!" Budowali dom. Ja do nich, że nie będę z nimi pracował, cegieł nosić nie będę, nie jestem budowniczym. "Ale was tu przydzielili." - "Co z tego, że przydzielili! Nie poszliśmy. Dwóch nas było, jeden Ukrainiec z Wołynia do mnie przyłączył. (...) Przez tydzień odwiedzaliśmy Polaków tam mieszkających. U pierwszych przyjęcie, spotkanie - rodacy! Pewnego wieczora do innych, nie zastawszy ich położyliśmy się na kanapie i śpimy. W nocy słyszemy łomot, otwieram oczy, nade mną stoi ktoś z siekierą, krzyknąłem po polsku, tłumaczymy się - znów popijacha, uciecha, spotykamy już swoich. I już jesteśmy wolni, choć zesłańcy. Od lat nie używaliśmy alkoholu, więc niewiele trzeba było (Raz tylko ~~chirx~~ w fabryce chirurg Radomski, który był więźniem i tam lekarzem, dał mi i Kazikowi z podstacji trochę spirytusu).

W Ustiumczyku spotkałem też Rosjanina Toporkowa, też go zwolnili. Sprowadził tu żonę i córkę i handlował w kiosku. Zaprosił mnie

do siebie ("Koniecznie zajdź do mnie!"), swatał ze swoją córką, ale nie myślałem o tym. (...)

I tak tydzień nie chodziliśmy do pracy. Pieniądze mamy, czekamy, co będzie. Wreszcie wołają nas do komendanta. Przychodzimy. Napadł na mnie, że jestem "sabotażnik", do pracy nie idę, będzie mnie sędził. A ja: "Macie takie prawo, to sądzicie, nie straszcie mnie sądem, nie boję się, wiem już, co to sąd. Dajcie mi pracę w moim fachu, to pójdę do pracy. Cegły nosić nie będę!" - "U nas nie ma warsztatów!" - "To po co mnie tu przywieźli!" - Wyszedł, po jakimś czasie wraca i woła mnie: "U nas nie ma nigdzie warsztatów, najwyżej w Magadanie." (...). Oczywiście chciałem do Magadanu.

No i znowu zabrali pełen samochód ludzi, ale nie dowieźli nas do Magadanu, lecz do miejscowości Karanken, 103 kilometry od Magadanu. Była to siedziba Dalstroja. Mieszkała tam cała śmietanka z Magadanu(...). Mieli duży park samochodowy, bazę samochodów ciężarowych i warsztaty samochodowe. W tych właśnie warsztatach pracowałem.

t. IV s. B

Mieszkał w Karanken szefowie Dalstroju. Każdy miał wille otoczoną parkanem malowanym. Piękne wystroje wewnątrz. Byli tam przeważnie wojskowi, naczelstwo, może z 50 osób. Przed paroma laty też tam był obóz. Za mojej bytności widoczne były jego pozostałości: walcące się wieżyczki, ogrodzenie. Byli też tam dawni pracownicy obozu: nadzorcy, straż, konwój. Miejscowi opowiadali o nich, że niektórzy po likwidacji obozu jeszcze długo przesiadywali w nim, pełni nostalgii. Mieli tutejsi z obozem wygodę: do każdej roboty domowej brali więźniów, ich żony nic nie robiły, miały niewolników do szorowania podłóg, rąbania drzewa, palenia w piecach.

Mnie przydzielono do "miednego cechu", wydziału blacharskiego w zakładach remontowych samochodów. Dali mi trzech ludzi do przyuczenia, pracowaliśmy. Otrzymałem pobory - skąd tyle pieniędzy? - myślę. Okazało się, że za szkolenie każdego ucznia płacili 300rb.

Dwóch było Rosjan, trzeci uczeń - Ukrainiec Stiopka, który nie mógł się obejść beze mnie, chodził za mną krok w krok. Miał nawet z tego powodu kłopoty ze swoimi ziomkami. (,.....)

Miejscowość była piękna: dolina, rzeczulka, od wschodu i zachodu góry, na północ biegła główna droga kołymska (...) Bliżej Magadanu leżała Pałatka, a jeszcze bliżej Sokolny z hutą szkła. W Pałatce był bank, jeździli tam po pieniądze (sam jeździłem, dawali mi fuzję, fuzję można było mieć, to broń myśliwska, a tam się mówiło: "Tajga zakon a niedwied prokuror")

W zakładzie u mnie przesiadywali naczelnik milicji, enkawudzista chyba i naczelnik straży pożarnej. Ciągłe im coś robiłem (np. przyczepkę do motocykla). Żyli bez specjalnych luksusów. Mieli zasadę: raz w tygodniu z ówiartką do łaźni - uroczyscie. (...) Czasem zapraszali do siebie. Zarabiałem nieźle, ok. 2000rb. starych. Był tam klub, kino-teatr, gdzie odbywały się ciągle zebrania, zabawy, uroczystości. Elita miejscowa chodziła na nie. Żony tych ludzi to były młode kobiety, lubiły się zabawić. A mężczyźni stęrzy - zaraz szampan, spiją się i leżą. Kilku z nas (Polacy i Estończyk jeden) lubiło tańczyć (...), one nas nazywały "centrowyje tancory", mówiły do nas po imieniu: "Wiciok, pajdiom tancowat" " Bawiliśmy się. Mieszkałem w hotelu robotniczym.

Czekało się, co będzie dalej. Jeździłem dość często do Magadanu okazjami (jeździli tam często kierowcy), wieczorem wracaliśmy. (...) W święta, Wielkanoc albo Boże Narodzenie, jak zjechaliśmy się w domku Staszka Jachiewicza, to ten domek w szwach pękał. Radomski tam pracował w służbie zdrowia, przyprawdzał pewną Rosjankę - bardzo jej się podobało, bo popijemy troszkę i śpiewamy piosenki wojskowe i wojenne i inne. "Kak u was krasiwu" - bo Rosjanie jak popiją, to zaraz awantury, biją się. W Magadanie także zetknąłem się z Popławskim, byliśmy w wielkiej komitywie. Kilka razy właśnie jego obraliśmy za "księdza", żeby chrzczył dzieci polskich małżeństw.

Parę ~~lat~~ lat temu pani Wróblewska z Olsztynka odwiedziła mnie i zapewniała, że byłem kumem jej syna - wypadło mi to z pamięci (...). W Karankenie byłem w 54 i 55 roku. Dopiero w 56 wyjechałem do Magadanu, kiedy już miałem jechać do kraju. W 55 roku nie wiedzieliśmy nic, choć zaczęło się mówić o powrocie do Polski. Późną jesienią przyjeżdżam do Magadanu i przychodzę jak zwykle pod domek Jachiewicza. Słyszę, że u niego w sieni jakiś prosiak się odzywa. Prosiaka sobie hoduje? - myślę i pukam. Jakiś obcy mężczyzna informuje mnie przez okno po rosyjsku: "Niet jego, ujechał w Polskę!" Zdziwiłem się, bo jakoś bardzo szybko to załatwili, nie napisali do mnie (Popławski wyjechał później niż ja). Nie miałem gdzie nocować, niedaleko w baraku mieszkał Heniek Michnowicz z Klarą. Myślałem, pójdę do niego (ciemna noc), ale tam mi mówią, że przeniósł się aż za cegielnię koło portu. Po jakichś wertepach dotarłem tam, ale pustka, noc - gdzież ja go znajdę? (...) Już miałem wracać do miasta, gdy nagle usłyszałem, że ktoś gra na harmonii "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Poszedłem tam, pukam - otwiera Heniek. (...) Nocowałem u niego, rozmawialiśmy o wyjeździe. Okazało się, że im potrzebni byli fachowcy i że w pierwszej kolejności wypuszczają do Polski z większych miast. Mnie w Karankenie chcieli przytrzymać. Poszedłem więc do komendanta: "Co jest, dlaczego mnie nie zawiadomiliście (o możliwości wyjazdu)?" - "A co, śle ci tutaj? Jesteś kierownikiem działu, zarabiasz". Rzeczywiście powodziło mi się chyba lepiej niż tu, w kraju. "Ale jestem Polakiem i chcę jechać do ojczyzny" - "Może pojedziesz, ale jeszcze nie teraz, zobaczymy. Teraz już nie będzie transportu ogólnego".

Nie dałem im jednak spokoju. Do tej pory musiałem się co dwa tygodnie meldować na komendzie, stemplowali mi specjalny dokument za każdym razem, że jestem na miejscu. Nie miałem prawa nigdzie jechać, a i tak jeździłem przecież do Magadanu nie pytając nikogo o zgodę. Kiedyś na drodze (wszędzie u nich posterunki na drogach, kontrolują ruch ludności) złąpała mnie kontrola, legitymują mnie,

ale jakoś puścili. W lutym chyba wzywa mnie komendant i wręcza dokument zdejmujący ze mnie zsyłkę. Jestem więc już sążkowiec wolny, mogę opuszczać Karanken - chcą mnie udobruchać. Ale na dokumencie widnieje, że jestem "grażdanin SSSR"! Oni nie pytali, narzcali swoje obywatelstwo. "Wszystko jedno, i tak będę się starał o wyjazd powiedzianem naczelnikowi.

Pojechałem do Magadanu, żeby się starać o dokumenty na wyjazd, trzeba było złożyć specjalne podanie. Kazali zgłosić się za dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach (jest już chyba maj 56 roku, ostania zima tutaj była bardzo śnieżna) - tak, wszystko gotowe, wydadzą mi wizę. Ale chcą, żebym im oddał mój dokument, zaświadczenie zawierające informacje o tym, kiedy byłem aresztowany, za co, na ile czasu i kiedy została ze mnie zdjęta zsyłka (luty 56). Więzienie i zsyłkę potraktowano ~~razem~~ łącznie - nie ma tu daty wypuszczenia na zsyłkę. Myślę: co robić? Nie oddam tego! Mówię, że nie uważałem owego zaświadczenia za ważny dokument, że gdzieś go zgubiłem (mam do dzisiaj oryginał). "Wróć do domu i szukaj, bo inaczej nie dostaniesz wizy!" (...)

W czerwcu idę parkiem w Magadanie, spotykam znajomego Rosjanina: "Ty słyszał, co się dzieje? U was powstanie, wojuje!" Powysłałem: nie wypuszczą mnie! Dochodziła tam "Trybuna Ludu" z trzydniowym opóźnieniem, kupiłem, czytam, rzeczywiście, Cyrankiewicz o odrąbaniu ręki mówi...

Ale uspokoiło się. Dali wreszcie wizę. Teraz trzeba czekać na statek kilka tygodni chyba (kolejka). Pożegnania z tymi, co jeszcze zostawali, płacz, odprowadzają mnie wreszcie do portu - można było ręką pomachać, stali przy ogrodzeniu... Był lipiec, dwunasty, 16 stopni ciepła, gdy wypływałem z Magadanu. Statek nazywał się "Iwan Kołybin". Ok oło dziesiątej rano odbiliśmy od brzegu. Była nas, Polaków, spora grupka, z piętnaście osób, kilka kobiet (niektóre zaczęły chorować). 20 lipca dotarliśmy do Władywostoku. Tu siedzimy

chyba ponad dobę, czekając na pociąg. Dworzec kolejowy blisko portu - stara, dawna budozła z wiezyczkami. Mieliśmy trochę pieniędzy, więc restauracja - znów śpiewamy polskie piosenki. Jakiś marynarz niemłody podchodzi nieśmiało, mówi po polsku, że on Polak, że aż płakać zaczął, gdy usłyszał język i śpiew. I pokazał nam swoją marynarską czapkę, były na niej dwa maleńkie guziczki z orzełkami. Jeszcze go chyba w czasie rewolucji tam zaniósł, mieszkał we Władystoku.

Jeden z naszych kolegów zranił się tam bardzo, gdy rozgrzany skoczył do morza. Natknął się na jakieś żelastwo i rozpruł brzuch musiał zostać w szpitalu. Niestety nie pamiętam nazwisk współtowarzyszy podróży. (...)

Tasma V str A
Pani Wysocka: Ja byłam na zsyłce w Krasnojarsku, mieszkałam w hotelu robotniczym. Wtedy przyszedł pewien Ukrainiec i mówi, że w komendanturze jest lista Polaków, którzy mają wracać do Polski. (...) Pracowaliśmy na budowie. Pobiegłam tam i rzeczywiście: wyczytano mi wszystkie nazwiska z tej budowy. Biegłam z powrotem jak na skrzydłach, poderwałam naszych panów (na budowie), rzucili pracę. (...) Jechało w tym transporcie ok. 500 osób z Krasnojarska, był listopad 1955. Do transportu dołączano wagony po drodze.
(koniec relacji pani Ireny)

Z utrzymaliśmy się w Moskwie. Niektórym zabrakło pieniędzy nie mieli tam z czego żyć.. Znaleźliśmy polską ambasadę (...), bez trudu nas tam wpuszczono, mnie wybrano na przedstawiciela grupy. Wszedłem do jakiegoś sekretariatu, mówię po rosyjsku - a sekretarki do mnie po polsku. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, przeszedłem na polski. Przyjął mnie jakiś pracownik ambasady (je w garniturze, krawacie itd - miałem pieniądze, ubierałem się). Przedstawiłem sprawę, on mówi, że pomoże, spisuje nazwiska potrzebujących, a do mnie: "Widzę, że pan dobrze sytuowany, panu też dać?" - "Nie trzeba" - głupio mi było. (...) Na kartce dał mi też adres restauracji,

"Pod Parusemi", gdzie wieczorem zapraszał nas na obiad. (...) Przychodzimy: portirzy w liberiach, podium, orkiestra, stoły przygotowane, jedzenie, parę butelek wódki - i polski proporczyk! Wokół oficerowie rosyjscy itd. Orkiestra zagrała nam poloneza Ogińskiego - oficerowie zaczęli się do nas przysiadać, wódkę przynoszą. "Bratcy, nie pomaitie na zło, my rodina!" - cieszyli się naszą radością.

Chciałem wzięc na Erześć, ale chciałem jeszcze odwiedzić rodziców w Wilnie (granice polską mogłem przekroczyć za 10-12 dni), więc wyskoczyłem z tej restauracji ze swoim "czumadanem", pożegnawszy się ze wszystkimi i pobiegłem na niedaleki dworzec Białoruski. Ołbrzymia kolejka do kasy, a mój pociąg niedługo odjeżdża! Podchodzi do mnie milicjant, salutuje i : "Inostraniec?" - prowadzi mnie do okienka i poleca kasjerce sprzedać mi bilet poza kolejka. Nikt nawet nie pisał... (...)

Jechałem noc, dzień i następnej nocy wysiadłem w Wilnie. Z Wilna podmiejskim jadę w swoje strony, wysiadłem w Santoce, stamtąd pieszo. Niektórzy poznają mnie...(...) Rozmawiamy, nie wierzą, że jadę z Rosji, bo mówię po polsku (bo jeśli tylko była w obozie możliwość, rozmawialiśmy po polsku i karcizo się tych, którzy, jak np. Wroński, mówili zawsze po rosyjsku) a wielu takich było).

I tak po 12 latach przyszedłem pod rodzinny dom. Ciepło, pięknie, jasno - księżyc świeci. Patrząc: co jest? Była tu przecież posesja ogrodzona, był sad - a tu dom stoi na pustkowiu prawie. Trochę poleżałem pod drzewem, nie chciałem budzić domowników. Wreszcie wazedłem na werandę, żeby się zdrzemnąć, ale wyczuł mnie pies. Najpierw warczy, później szczeka, w domu się zaniapokoili. Słyszę głos ojca": "Kto tam jest?", udaje, że o droge chce zapytać. Wreszcie ojciec uchyla drzwi. Chyba mnie poznał od razu. Wrzasku w domu narobili... Byłem tam z tydzień, potem musiałem wyjechać.

Przekroczyłem granicę w Brześciu (...). W Białej Poślaskiej w punkcie repatriacyjnym spisują moje personalia. Mówię wprost,

że byłem w AK, w obozach, a ktoś (z nich) do mnie podchodzi: "Nie tak głośno, panie, niech pan tak głośno o tym nie mówi, nie wie pan, co panu może grozić". Ja na to: "Tem się nie bałem, w swoim kraju będę się bał?" - "Ale niech pan będzie ostrożny!" Rzeczywiście, jeszcze przecież sadzali ludzi (...)

Swój numer więzienny miałem od 49 roku, dostałem go w Tajsze-
cie: I 2 -396. Do końca był ten sam, również na Woływie. (...)

W kraju mogłem zostać w Lublinie w fabryce samochodów, tam była dla mnie praca. Ale brat stryjeczny tu mieszkał, namawiał mnie, żebym tu został. Pisał on do mnie jeszcze do Karankenu. Przyczepiłem się więc do niego, pierwsze mieszkanie (mała kajutka) miałem nawet po nim. Uważano mnie za Rosjanina! Bez serca specjalnego ludzie do mnie podchodzili. W Olsztynie w pracy byłem brygadzystą, potem samodzielnie prowadziłem oprzyrządownię, co mi odpowiadało, bo nie znosiłem byle kogo nad sobą. Teraz już dowiedziałem się, że lepiej by było, gdybym ukrywał to AK i obozy, że nie mogłem z tego powodu objąć wyższego jak brygadzista, stanowiska. Wzywali mnie do komitetu, namawiali do partii, ale nie chciałem. Byłem racjonalizatorem i wynalazcą, mam parę patentów. Było za to trochę pieniędzy, ale nie stanowiska. (...)

W Olsztynie spotkałem Irene, pamiętałem ją tylko z procesu i więzienia. Było to tak. Mieszkałem już z półtora roku w Olsztynie, gdy przez znajomą z Warszawy otrzymałem wiadomość o Józiu Rodziewicz z mojej sprawy (był w Worylsku), nawiązałem z nim kontakt. On mi napisał, że Irene jest w Olsztynie, podał adres, Waryńskiego (...). Przyszędłem, otwiera drzwi: "Pan żyje!?" Zaczeliśmy wracać do życia, czuliśmy się nikomu niepotrzebni (...) nic nie mieliśmy. Nasi znajomi, którzy ukrywali swoją przeszłość już byli jakoś urządzeni (...) a my obdartusy, żebracy, wróciliśmy z drewnianym kuferkiem - ani pościeli, ani mieszkania... Całe mienie t a m zostało skonfiskowane (...), oczywiście nie mamy żadnych papierów

żadnych dokumentów na to, że tam się cokolwiek posiadało z dziada-
pradziada. Tu żyło się z dnia na dzień - ziemie ponemieckie, matka
Ireny mawiała: Nie ma sensu oszczędzać, lepiej iść do teatru czy ki-
na - co mi z tego, że oszczędzaliśmy? Matka wróciła z Litwy dopiero
po powrocie córki. Została tam, żeby jej pomagać (rodzina nazywano
bandycką), nie było łatwo jeździć choćby do Wilejki do więzienia.
Dobrze byłoby skontaktować się z panią Łaszkiwiczową, córką przed-
wojennego generałem (.....)

UWAGA: Relacja od chwili pobytu w Moskwie i cała taśma V (Olsztyn),
jest streszczona tylko, zawiera raczej swobodną rozmowę o poglądach
głosy nałożone na siebie itd. "Cała taśma" czyli kawałek strony A.

Witold Wysocki - uzupełnienia

Str. 1 Witold Wysocki ur. 18 stycznia 1920 roku w Karolinowie,
ad. I gmina Podbrodzie, pow. Święciany, woj. Wilno. Mieszkałem
z rodziną w zaścianku, były tam tylko dwa domy, dziedzictwo Wysoc-
kich. Miejscowość jest bardzo piękna, położona między sosnowymi
lasami nad jeziorem. Do Podbrodzia osiem kilometrów, do przystan-
ku kolejowego - półtora kilometra. Przystanek kolejowy Parczew
też przewie nad jeziorem. Są tam trzy jeziora połączone między sobą
rzeczkami i rzeką Żejmianą. Po przeciwnej stronie kolei płynęła
rzeka Żejmiana i tuż między koleją, a rzeką niedużą wieś Drużyłe
z mostem przez Żejmianę.

Ponad jeden kilometr od wsi Drużyłe, Żejmiana wpada do Wilji.
Tuż obok jest most kolejowy i miejscowość Sartoka. Piękne tam
są okolice. Żejmiana płynie na południe do ujścia, Wilja na za-
chód, po połączeniu się z Żejmianą skierowuje się na południowy-
zachód w kierunku Wilna. Obie te rzeki płyną dość szerokimi doli-
nami, otoczonymi wzniesieniami pokrytymi lasami jeziremi.

W porze letniej przyjeżdżało tu z miasta dużo ludzi. Niektórzy
tylko na kilka czy kilkanaście godzin, a niektórzy na cały sezon
urlopowy.

Ojciec mój zasiadał gospodarstwo rolne. Było nas czworo rodzeń-
stwa - dwie siostry i dwóch braci. Mój starszy brat o 12 lat
brat, został aresztowany później ode mnie, ponieważ kiedy przy-
jechało po nas NKWD, brata nie było w domu, wzięli tylko mnie i
ojca. Po kilku tygodniach ojca wypuścili, staruszek miał wtedy
76 lat, brat długo się ukrywał, ale wtedy cały czas go tropili i
w końcu go dopadli.

Do szkoły powszechnej z początku chodziłem do Korkożyszek,
/cóż za świetni wtedy byli nauczyciele, jacy patricci/korcożyska
szkoła miała pięć klas. Po ich ukończeniu chodziłem jeszcze dwa

lata do 7-klasowej szkoły ~~podstawowej~~ imienia marszałka Józefa Piłsudskiego w Podbrodziu. Po jej ukończeniu w 1934 roku uczyłem się w Wilnie w szkole rzemieślniczej, a w 1938 i 39 pracowałem już w warsztatach kolejowych.

Str. 1. W latach 1937-38 i częściowo w 1939 przebywała u nas
ad. II w porze letniej na wypoczynku rodzina państwa Zatorskich z Warszawy. Pan Zatorski - senior był u prezydenta Wojciechowskiego sekretarzem.

Pamiętam, w latach 1928-29 przez dwa sezony letniskowe przebywała u nas rodzina pana Stanisława Wojciechowskiego, byłego prezydenta. Mieli oni dwie córki, zapamiętałem, że starsza miała na imię Jola, bardzo szczupła i wysoka.

Państwo Zatorscy mieli bardzo dużą rodzinę, zięć był kapitanem, a syn Tedeusz porucznikiem. Z panem porucznikiem spędzałem dużo czasu, urządzaliśmy w jarze strzelaninę i tam pan porucznik układał mnie w strzeleniu.

Za namową pana Zatorskiego postanowiłem wybrać sobie wojsko i zgłosiłem się jako ochotnik, aby kontynuować naukę zawodu. Wiosną 1939 roku stanąłem na komisję wojskową i zostałem przyjęty, niestety, we wrześniu wybuchła wojna i tak zostałem w domu, a 19 września byli tu na Wileńszczyźnie już sowieci. A bodajże w końcu października Wileńszczyznę przekazali Litwinom, aby w końcu w roku 1940 całą Litwę wraz z Wileńszczyzną zagarnąć dla siebie.

Początek roku 1941 był tragiczny, na początku zaczęto gnębić polską inteligencję, zaczęły się aresztowania, ludzie przepędali bez wieści, z wiosną zaczęto wywozić całe rodziny. To całe tragedie. Ludzie czując, że są zagrożeni, ukrywali się wierząc, że to długo nie potrwa. Chpdziły słuchy, że leśny moment wybuchnie wojna między sowiekami a Niemcami. My ukrywaliśmy się całą prawie rodziną. A było tak: sowieci zabierali na wywózkę tylko w nocy, w dzień

wszyscy czuli się bezpieczniejsz, a z nadejściem nocy każdy zagrożony ukrywał się poza domem, ale trudno było zgadnąć po kogo przyjdą. NKWD działało z zaskoczenia, okrążali w nocy zabudowania, ~~uciekali~~ uciekali - strzelali i zabijali. Dawali dwie godziny na spakowanie rzeczy i w drogę do towarowych wagonów. Na bocznicę stały całe składy tych wagonów przez cały czas zabezpieczone ludźmi. W tym czasie wagony były bardzo pilnie strzeżone przez NKWD, nikt nie miał prawa do nich podejść, bo natychmiast strzelali.

Byliśmy na liście wywożonych, ale nie zdążyli. W niedzielę 22 czerwca 1941 Niemcy gwałtownie uderzyli. Wiele transportów stało na stacjach, niemieckie samoloty bombardowały stacje i urządzenia kolejowe, a NKWD do ostatniej chwili nie opuszczało pilnowania wagonów. Kiedy miejscowa ludność podchodziła do wagonów i ludzie krzydzeli żeby otwierać wagony i wypuścić uwięzionych, bo tuż tuż sz Niemcy, to oni krzydzeli: "uchodzi, budu strielat".

Jak już Niemcy zajęli te miejscowości - dopiero rzucali broń i uciekali. Podczas okupacji niemieckiej historia zaczęła się powtarzać tylko w inny sposób.

Str.2 W końcu 1942 roku na terenie gminy Podbrodzie zaczęła
ad.III działać sieć konspiracyjna AK, szczególnie w pasie
położonym po obu stronach koleji, która przebiegała od Wilna na
Święciany i Dyneburg. Do sieci należała prawie cała młodzież pracownik^dów kolejowych, miasta Podbrodzie i okolicy, a już na wiosnę 1943 r. gdy i tam zaczęły pojawić^s się oddziały zbrojne złożone przeważnie z tych, którym zaczęła się "palić" ziemia pod nogami.

Na naszym terenie powstał oddział zbrojny AK pod nazwą "Żejmiana". Nazwa Żejmiana została przyjęta dlatego, że przez ten teren przepływa rzeka Żejmiana równolegle prawie do kolei, począwszy od źródeł koło Święcian, wpadając do Wilji w Santoce. Nazwa leśnej - bo trasa kolei od Wilna, sz po Święciany i dalej przebiegała

wśród lasów. Numer brygady 16 pozostał w czasie przegrupowania przed akcją Ostra Brama.

W kwietniu 1943 roku zostałem zaprzysiężony i przydzielony do Brygady "Żejmianska", według posiadanego zawodu zostałem rusznikarzem.

Str.3 Do Akcji Ostra Brama dołączyłem, gdy miasto zostało już od IV zajęte przez armię radziecką. Nasze oddziały znajdowały się na północny-zachód od Wilna w miejscowości. jeśli się nie mylę, Nowosiółki. Po południu - nie pamiętam którego dnia - otrzymałem rozkaz przedostania się w rejon Podbrodzia. Na podany punkt. Stamtąd miano mnie przeprowadzić do miejsca, gdzie odbywała się zbiórka rezerwy, którą mam doprowadzić do naszej Brygady pod Wilno. Nadchodziła już noc, więc miałem poczekać do rana i ruszyć na umówione miejsce, bo nocą było bardzo niebezpiecznie, dookoła pełno było sowieckiego wojska. Po przespaniu paru godzin letniej nocy, o świcie wyruszyłem w dalszą drogę, nie byłem sam, przydzielono mi jednego żołnierza, pseudonim "Szczur". Idąc tak trafiliśmy na zabudowania, a między zabudowaniami na grupę naszych z AK. Tak się złożyło, że dwóch oficerów było ze sztabu i jeden, porucznik "Jerzy", poznał mnie. Był przy tym, jak otrzymałem rozkaz. Powiedział: "Jak dobrze, że ciebie spotkałem, wpakował byś się w kabełę."

Okazało się, że tej nocy sowieci okrążyli nasze oddziały, rozbijając i internując. Tym dwóm udało się wymknąć. Trzeba było zmienić rozkaz - podążyć na umówione miejsce i zameldować dowódcy grupy rezerwowej, aby się rozwiązali i rozeszli do domów. Gdy dostaliśmy się na miejsce zbiórki rezerwy, po moim meldunku nastąpiła konsternacja.

Str.4 Swir, nieduże miasteczko nad dużym jeziorem świrskim, od.V tam znajdował się sztab NKWD. Miasteczko historyczne, jedna ulica wzdłuż jeziora, w połowie miasteczka nieduże wzniesienie. Za polskich czasów na wzgórzu był usypany dość okazały kopiec a na jego szczycie umieszczony biały orzeł. Sowieci to wszystko

zniszczyli.

Gdy nas aresztowanych wieziono przez wieś M..... /nieczytelne/, równoległe do tej łąki w odległości 50 do 100 metrów, przebiegała polna dróżka. Przechodził nią od zabudowy do zabudowy, młody mężczyzna. "Karszuk" siedzący na wozie obok NKWD-dzistów, wskazał, mówiąc: "patrzcie, tam idzie partyzant z AK". Ostrzelali go z rkm-u, dogonili i przyprowadzili do nas, do wozów. Był to nasz chłopak z "Żejmieny", pseudonim "Aments". Pochodził z Łotwy.

Atr.5 Ze Swira do Wilejki pędzono nas pieszo. ~~maxakrzykrytym~~

ad VI Po przybyciu umieszczono nas w więzieniu śledczym, był to mały, parterowy budynek na zapleczu dużego gmachu, gdzie miało siedzibę NKWD.

Aby się dostać pociągiem od Podbrodzia do Wilejki, trzeba kilku przesiadek, niesamowita uciążliwość. Do więzienia śledczego pchali i pchali różnych ludzi, przeważnie z pobliskich okolic. Z mojej okolicy znalazło się 5, czy 6 osób, które trochę znałem. Utworzyli z nas grupę szesnastu osób, chociaż tak osobiście to nie znaliśmy się, nawet nigdy nie słyszałem ich nazwisk. W grupie tej znalazła się moja obecna żona, mieszkanka Podbrodzia. W maju dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła i to od Niemców - jeńców, którzy pracowali w obsłudze na dworze, chodzili pod oknami i mówili: wojna keput".

W czerwcu zakończono śledztwo i przewieziono nas do dużego, starego, jeszcze carskiego więzienia. Na frontowej ścianie spod warstwy farby przebijał stery, rosyjski napis "Tiumna".

Str.7 W murze okalającym więzienie w jednym rogu było miejsc-
ed.VII sce rozstrzeliwań, kiedy w 1941 przyszli Niemcy,

uciekający sowieci część więźniów rozstrzelali, część gonili na wschód, co słabszych rozstrzeliwując i zrzucając do rowu. Po ucieczce sowieców, miejscowa ludność i ci, co mieli bliskich w więzieniu, przychodzili na to podwórze rozpoznawać swoich blis-

kich wśród trupów.

Str.7 W czerwcu 1946 przywieziono nas do Grodna w grupie
ed.VIII szesnastu osób, wśród których były dwie kobiety:

Irena Barzdo i Halina Łaszkiwiczowa. Irena Barzdo jest obecnie moją żoną, urodzona w Podbrodziu, jedna z czworga rodzeństwa, miała trzech starszych braci. Najstarszy - Stanisław, był oficerem lotnictwa, zginął nad Anglią, jego nazwisko widnieje na pomniku lotników polskich w Londynie. Drugi brat, porucznik, był w oddziałach AK, trzeci też był w AK. Irena była łączniczką przy Kedywie.

Str.8-9 Na wiosnę 1944 w miesiącach maj-czerwiec sztab nasze-
ed. IX go wileńskiego zgrupowanie mieściła się w majątku

państwa Konarzewskich w Punżankach. Pani Halina, o której tu mowa, jest córką generała Daniela Konarzewskiego. Był on generałem broni. Zmarł wiosną 1934 r. Majątek jest trochę na uboczu większych szlaków, zatem było tam bezpieczniej zakwaterować sztab. Kiedyś wiosną w 1944 Irena przekazała jakieś dość poważne pakiety dla generała "Wilka", trafiła na przyjęcie i została na tym przyjęciu.

Ryb mieli pod dostaniem. Przy majątku był staw rybny, więc chłopaki z obstawy postarali się i nakłapali. Irena miała nawet okazję zatańczyć z gen. "Wilkiem", obiecywał jej awans, ale zaraz przed akcją Ostra Brama, sztab przeniósł się pod Wilno.

Str.13 Tego dnia, gdy nas nakłapali, przywieźli do Podbrodzia
ed. X. na posterunek milicji, bo pojмали nas za tzw. "Stre-
lleciki" - ochotnicza milicja, utworzona z miejscowych łobuzów. Wi-
docznie ten, który nas wydał zgłosił to milicji. Po przenocowa-
niu w Podbrodziu na posterunku, wczesnym rankiem związano nam
ręce drutem do tyłu i prowadzono na stację kolejową, aby pocią-
giem odwieźć nas do Tallina.

Gdy tak nas prowadzono, spotykani po drodze ludzie p rzyglądali się nam ze ^zdziwieniem, ponieważ gospodarz u którego się zatrzymaliśmy dał każdemu na drogę coś tam i bochenek chleba. Sowietci nam tego nie zabrali, ale gdy tak szliśmy z rękami związanymi do tyłu, to torby z chlebem musieliśmy trzymać w zębach. I to było dziwne dla spotykanych ludzi. Całą drogę ~~szliśmy~~ z Podbrodzie do Tallina leżeliśmy na podłodze w wagonie związani jak zwierzęta. W Tallinie przeprowadzono nas do tego samego łagru, z którego uciekliśmy i umieszczono w karczerze. Był to nieduży baraczek z desek o małych, ciasnych celkach, my rezebrani do koszul, a na dworze mróz był około 25°.

Str.13-14 Pierwszego i drugiego kwietnia 1947 roku znowu sąd, ad XI groźny, za ucieczkę z łagru. Z tej grupy, która uciekała pojmanych mieli tylko 5, czy 6 osób, Samych organizatorów i tych, którzy dokonali zabójstwa konwojentów - nie zkapali. W tym czasie gdy ci przebrani wyprowadzali nas z warsztatów, to kilka osób gdzieś się skryło. Potem po naszym odejściu sami wrócili do łagru i wszystko dokładnie opowiedzieli, tak że już wiadomo kto był głównym sprawcą. Jednak z zemsty osądzono nas jedną miarą. Dano najwyższy wymiar kary, a po łagrech odczytywano, że takich to a takich uciekinierów pojmano, osądzono i wyroki wykonano.

Po sądzie zaprowadzono nas, każdego z osobna, do "podwału" - celi śmierci. Po kilku dniach już się zorientowaliśmy kiedy wykonują egzekucje, zawsze nad ranem, około trzeciej, czwartej. W czasie orientowaliśmy się trochę, bo w nocnej ciszy słychać było gdzieś bicie zegara na wieży. Również słychać było jak wyprowadzają skazańców. "powiernis k scienkie, ruki na zad".

* Str. 14 Siedzimy już tak trzeci miesiąc, jeszcze żyjemy, przez ad XII my, że z naszej paczki wszyscy siedzą bokolei po jednej stronie korytarza i pewnej, czerwcowej nocy /17 czerwca/ zaczęły szczekać zamki po mojej stronie. Coraz bliżej i bliżej, aż i w

moich drzwiach zaogrzytał ramię. Drzwi się otworzyły i słyszę rozkaz: "wychaći". Z drętwą całego ciała ruszyłem do wyjścia, zobaczyłem, że moi współtowarzysze stoją rzędem twarzami do ściany, z rękami w tyle. Kazano i mnie to uczynić.

Potem kazano nam stanąć w szeregu. Z dziesięciu doborowych strażników otoczyło nas i gęsiego poprowadzono, ale nie na podwórze, lecz po schodach na górę.

Str.15 Cały czas była mowa o Olku, Aleksandrze Piórku.
ad XIII

Str. 15 Przywieziono nad do posiołka Czam. Od tej miejscowości zaczęto budować linię kolejową, prosto do Workuty. Wprawdzie nowo budowana pod nazwą Workuta-Vana piatset pierwaje strojke, przez zepolarny Ural w kierunku miast Sulec.....? nad rzeką Ob. Rozpoczęła się strasznie ciężka praca o głodzie i chłodzie - wykuwanie w wiecznej zmarzlinie trasy kolejowej. Pracowaliśmy po 10 godzin na dobę /i więcej/, wolny dzień - co dziesiąty, wykorzystywany był do robót we wnętrzu łagru.

Str.19 a jak stanie pociąg na bocznicach, to znowu stoimy kilka dni. Dojechaliśmy do Nowosybirsku, pociąg zatrzymano na bocznicach na dłuższy postój, a nas po kilkudziesięciu osób wyprowadzono do łaźni. W Nowosybirsku jest olbrzymia etapowa łaźnia, budowana jeszcze za czasów carskich, jednorazowo może wykopać kilkudziesięciu osób. Nareszcie się wykąpać porządnie, bo przez te lata myśleliśmy się tylko śniegiem, a w prowizorycznej łaźni dostawaliśmy do mycia tylko 2 litry wody wytopionej ze śniegu.

W czasie dłuższego postoju naszego składu na bocznicach uruchomiono kuchnię polową. która mieściła się w jednym wagonie. Taki skład etapowy zawierał ponad 3 tysiące ludzi, to był zestaw jednego łag-punktu.

Str. 23 Po kilku dniach takiego piekła wreszcie zabierają na
ad. XVI dalszy etap. W całej tej grupie etapowej nie było żad-
nego złodzieja, czy kryminalisty. Przeprowadzono nas do portu. p. s
Przy nabrzeżu stał statek "Feliks Dzierżyński", którym mamy płynąć
dalej na Kołymę. Ciekawy teren, wybrzeże górzyste, nieduża zatoka w
formie fiordu, po przeciwnej stronie stoją jakieś statki. Na tle
gór wyglądają jak zabawki.

Wypłynęliśmy z portu u skierowaliśmy się od razu w lewą stronę,
niektórzy Rosjanie znali trasy, więc mówią: żeby nikt obcy nie wie-
dział, że wiozą więźniów, to płyną cieśniną Tatarską, która jest bar-
dzo niebezpieczna z powodu podwodnych skał, zamiast trasą między
Sachalinem a Wyspami Japońskimi. Ale przepłynęliśmy szczęśliwie.

Str. 23 Chętnie wychodziłem, gdy wyprowadzono na miasto do
ad XVII jakichś robót porządkowych. Reżim na Kołymie był o
wiele łagodniejszy. Coś tam robiliśmy w klubie KWCZ, przynosiliśmy
jakieś meble. Spotkałem tam znajomego, jeszcze z Workuty., tam
przedstawił mi się jako oficer z AK, nazwisko miał arystokratyczne,
albo przybrane - Bersegow. Tu miał zajęcie w klubie jako chudożnik,
artysta malarz, zaproponował mi pracę przy klubie i obiecał posta-
reć się o nią. Przystąpiłem na to bardzo chętnie, ale na drugi dzień
już nas szykowano do dalekiej drogi w głąb Kołymy.

ad XXIII że było wielu Rosjan, oficerów - więźniów politycz-
nych, to prawda. A o tej ucieczce też prawda. Przez parę dni potem
bardzo obostrzyli reżim i głośno o tym mówiono, nie wypuszczali
nikogo, nawet z konwojem za zonę, aż do naszego odjazdu.

str. 25 Z towa zyszem niedoli, Zjutkiem Nosowiczem spotkałem
ad XIX się jeszcze w Łagrach, jego na Kołymę
odtransportowali wcześniejszym etapem. Był bardzo serdecznym kolegą,
pochodził z miejscowości podgrodzieńskiej. Gdy nas przywieziono do
Budugaczegu, on pracował już w jednej z kopalń, kiedy rozkładowaliś-

my się i wpuszczono nas do łagrowej zony, on akurat był w baraku po nocnej zmianie. Jak się dowiedzieli, że przyszedł nowy transport wszyscy zaraz spotykali i szukali znajomych. I tak go spotkałem. Byliśmy znów razem. Było tam jeszcze sporo Polaków, z którymi nawiązałem nową przyjaźń. Polscy na obczyźnie, a szczególnie w okrutnych warunkach łagrowych, byli ze sobą bliżsi, niż bracia. Nawet Rosjanie dziwili się i mówili, że trzeba brać przykład z Polaków, bo oni są więcej zespoleni niż Żydzi.

Str 26 Henryk Micherowicz - jeden z moich kolegów. Heniek
ad XX pracował jako elektryk na podstacji /o nim tu mowa/.

ad XXI Ziutek Nosowicz do uruchomienia fabryki pracował w kopalni, był wiertaczem. Streszczenie był zepylony, płuca grały mu jak organy, a nos miał jak przyciągłym katarze. Gdy maszyny pracowały już normalnie, poprosiłem swego kierownika, aby przeniesiono Nosowicza do fabryki. Kierownik przychylił się do mojej prośby i Ziutek został przeniesiony do fabryki. Pracował tam na przetwórstwie.

Str. 31 Bronisław Redomski był absolwentem szkoły medycznej,
ad ~~XXII~~ nej, podobno we Lwowie, w Łęgrze był legiernym lekarzem, dużo nam pomagał. Kazik Jurewicz też pracował na podstacji a wiosną 1944 roku na Wielkanoc, kiedy wróciliśmy z fabryki po nocnej zmianie, doktor Redomski przyniósł nam trochę spirytusu. Nasze kółko Polaków uczciło tym święta. Dużo nam nie było trzeba, gdyż od dziesięciu lat nikt nie spożywał alkoholu i te kilka gramów rozcieńczonych wodą nas rozłożyło. Staraliśmy się tak zachować, aby nic po nas nie poznano.

Str.36 Moja żona Irena, jak już wcześniej pisałem, została
ad XXIII aresztowana 5 stycznia 1945 roku. Doprowadzona do
Wilejki i dołączona do naszej grupy szesnastu. Przedtem z Iranem
nie znaleźliśmy się. Po sędzic i otrzymaniu wyroku 10 lat, część z
tej grupy tym samym etapem przywieźli do Orszy na punkt. W Wilejce
jeszcze pozostali mój brat Leon, pani Halina Łeszkiewicz, Staszek
Jaciewicz i jeszcze kilka osób. Po kilku dniach powieźli ich etapem
aż na Daleki Wschód. Z tej naszej grupy, sześć osób w tym moja
Irenka i ja, zostaliśmy przywiezieni do Tallina /po mojej ucieczce/.
W łagrze na spelu ogółowi zekomunikowano, że nas zkepano i roz-
walono.

Wiosną 1947 roku część skazańców, w tym Irenę, przewieziono do
Siloniaja nad byłą ~~graniczną~~ estońską ~~rzeką~~ granicą. Tam miała pra-
cować podziemią w kopalni żupków bitumicznych, ale szczęściem zos-
tała na górze i pracowała przy windzie wyciągowej.

W 1948 r. etapem została przewieziona do speclagra do Mordowiji
miejscowość Poćme, gdzie na początku pracowała w szwalniczym kom-
bincie. Po jakim czasie została przeniesiona do łagiernej sanecz-
ni i do zwolnienia z łagru pracowała jako pielęgniarka. Na zesłanie
z Mordowiji została przewieziona do Krasnojarska i skierowana na
budowę do noszenia cegieł. Towarzysze niedoli widząc taką kruchą
dziewczynę, starali się ją wyręczać /była bardzo szczuplutka/.

str.36 Jechaliśmy grupą siedmiu osób. W Moskwie zatrzymaliśmy
XXIV się żeby w naszej ambasadzie zdobyć jakieś środki dla
kontynuacji podróży do kraju.

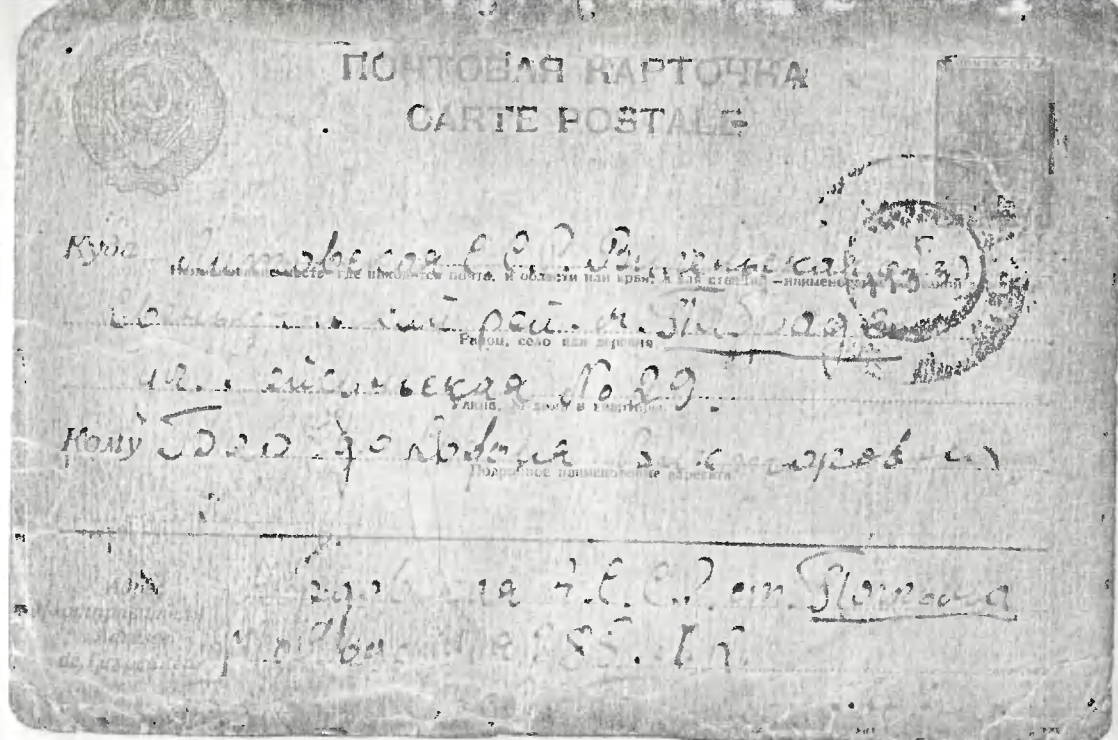
str.37 Już na dworcu w Wilnie przyglądano mi się, kiedy kupowa-
ad XXV łem bilet do Santoki. Po przyjeździe dużo ludzi tu
wysiadło, niektórzy mnie rozpoznali, inni nie wierzyli, że jadę z
drugiego krańca Rosji. Myśleli, że przybywam z Polski, gdyż dobrze
mówiłem po polsku, a tamtejsza ludność bardzo zeszpeciła polski
język naleciałościami litewskimi i białoruskimi.

str.39 Uważam, że cała relacja od pierwszej strony, to jest
ad XXVI od początku jest tylko streszczeniem i potrzebuje
dużo pracy, aby z tego powstał poprawnie napisany pamiętnik. Nie-
które ustępy są tak jak-ós chaotycznie relacjonowane, nie byłem
do tego przygotowany i w ogóle to moja pierwsza rozmowa dotycząca
tego okresu. Wielu wydarzeń tu brakuje. Bardzo dużo szczegółów zost-
tało pominiętych. Opisuując wszystko po kolei, napewno udało by się
lepiej, bo by się powoli zastanawiało nad każdym ustępem. W wy-
powiedzi powstają różne przeskokki, a w dodatku kiedy się nie miało
nigdy doczynienia ze skłedaniem relacji szczegółowych i tak od-
dalonych w czasie wydarzeń, bo przecież od początku to już 46 lat,
a od zakończenia - 34 lata.

Wszystkie moje poprawki i rozszerzone dopiski trzeba jeszcze
wkomponować w całość, czego dokonać nie jestem w stanie. Proszę
szanowną Panią, jeśli to będzie możliwe, o dokonanie tego.

Witold Wysocki

Truno
 Wysocina
 2 domu
 Barzdo
 W-266
 Oborkyn
 ul. Okruci 24 m 2



Odbratli ksevo kartek poostowych, ktone wysybladem
 z obozu do mojej mamy mieszkajcej w Podbrodicy.

